MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVIII Nr 32 WARSZAWA, 24 LIPCA 1938 R CENA NUMERU 80 GR

PALESTYNA I DIASPORA

REWOLTA palestyńska, która poczyna przybierać ze strony Arabów, zwłaszcza po zamordowaniu imana meczetu Omara, charakter wojny świętej przeciwko żydostwu na całym świecie, każe się nad sobą, jako zjawiskiem, głębiej zastanowić, a to z powodu postawy żydów.

Wydaje nam się, że każdy z chaluców, orzących w dosłownym pocie czoła nieurodzajną glebę Palestyny, jest niepodobny do swego współplemieńca, prowadzącego handel w Karczewie, Kocku czy Górze Kalwarii. Wydaje nam się, że zupełnie inni ludzie zbudowali „Miasto Wiosny" — Tel Aviv, nie ci sami, którzy urodzili się na warszawskich Nalewkach, czy krakowskim Kazimierzu. Wydaje nam się wreszcie, że inny gatunek ludzi strzelał i strzela codzień do Arabów, a inny ucieka u nas chyłkiem, uderzony choćby tylko odważniejszem spojrzeniem. Wszystko tam, nad Jordanem, wydaje się nam czemś zupełnie niepodobnem do tego, co jest tu, u nas nad Wisłą, na żydowskich przedmieściach i w żydowskich miasteczkach.

Jak to wszystko wytłumaczyć?

Przedewszystkiem: w Palestynie znajduje się nie tylko normalniejsza w typie, sjonistyczna część żydostwa, ale jej elita. Palestyna żydowska jest niczem innem, jak tylko wielką kolonią ideowców, stanowiącą typ skrajnych idealistów, w przeciwieństwie do materialistycznej nawskroś, wielomilionowej masy żyjącej na świecie w diasporze. Stąd cechy wyjątkowe, które wprawiają w podziw tych wszystkich, co mieli możność zetknąć się z żydostwem prawdziwem, a nie wyjątkami potwierdzającymi regułę. Pamiętajmy, że stracony niedawno słynny a w przyszłości zapewne i legendarny ben Josef, pochodził z naszego wołyńskiego Łucka i nazywał się poprostu Salomon Tabacznik. Marzyła mu się, gdy jeszcze robił zdjęcia uliczne małą „lejką" Palestyna — Ziemia Obiecana. Zdołał się tam dostać i poległ stracony przez Anglików. Życie jego oraz śmierć posiada wiele cech heroicznych, ale... ale drugiego herosa, mającego również, jak Tabacznik wyrok śmierci za akcję terrorystyczną „wymigano" od zaszczytu oddania życia za ojczyznę przez najzwyklejsze fałszerstwo metryki. Metrykę sfałszował, zupełnie, jakby chodziło o zwolnienie z wojska, rabin z Polski. Bo drugi (niedoszły) bohater żydowski pochodził spod Białegostoku.

U nas więc po staremu szachrują, a tam w Palestynie walczą. Zwróćmy tylko uwagę, jak żydzi z chwilą zetknięcia się z ziemią odzyskują swoje zatracone instynkty. Instynkty wschodniego fanatyzmu, wschodniej zaciekłości, krwiożerczości, zapamiętania. Salomon Tabacznik i jego towarzysze z akcji terrorystycznej to już nie Europejczycy. To wschód, egzotyzm, któregośmy często tu u siebie nie byli w stanie dostrzec.

Walka nad Jordanem mówi o całym bezsensie osiedlania żydów w Palestynie, dla której są już elementem obcym. Nawskroś doktrynalna koncepcja państwa żydowskiego prowadzona przed laty, dzięki rozwielmożnieniu się wpływów żydowskich w Anglji okazała się w praktyce fatalną pomyłką. Stworzyła tylko nowe ognisko zapalne w świecie.

Zniszczyć diasporę trzeba, ale tworzenie państwa żydowskiego w tej postaci, jak to się stało w Palestynie jest niczym innym jak tylko podtrzymywaniem faktu istnienia diaspory. A to nie tylko dlatego, iż obszar nadjordański nie jest zdolen do zmieszczenia na swem terytorium wszystkich żydów rozproszonych po świecie, ale także dlatego, iż stał się dla nich karmem duchowym, podtrzymującym ducha nacjonalistycznego.

Żydowski nacjonalizm żyje i rozwija się, śniąc o Tel Aviv, stolicy bazy operacyjnej imperialistycznej *sui generis* polityki żydowskiej.

J. B.

LUDWIK XIV

(Dokończenie)

LUDWIK XIV był taką samą „przyczyną” W. rewolucji, jak każdy z monarchów, którzy w ciągu tysiąca prawie lat tworzyli Francję; zdaniem rewolucjonistów zawinili oni poprostu przez to, że byli; rewolucja zwróciła się przeciwko całości dziejów Francji, czego dowodem było zbezczeczenie katedry Notre-Dame w Paryżu i grobów królewskich w Saint-Denis. G. Lenotre rozpoczyna swe dzieło *„La vie à Paris pendant la révolution”* zdaniem: „Wśród licznych przyczyn Rewolucji zaniedbuje się zwykle wskazać jedną: Francja za Ludwika XVI była zbyt szczęśliwa”. Historycy stwierdzają, że w owym czasie powszechny dobrobyt przeciwstawiał bogate społeczeństwo zadłużonemu państwu, przyczem chwilowy kryzys ekonomiczny i zadłużenie skarbu wywołane były właśnie przez zastosowanie się króla do prądów panujących w opinii publicznej Paryża: przez „reformy” Turgot'a i wojnę o niepodległość amerykańską. Na końcu swego studium *„La monarchie française”* wylicza Funk-Brentano rzeczywiste i dobroczynne reformy dokonane w krótkim czasie za Ludwika XVI i stwierdza, że tembardziej ubolewać trzeba nad dojściem do skutku wybuchu rewolucyjnego, że skierował się on nie przeciw rządom przeciwnym żądanym zmianom i odnowieniom, lecz przeciw rządom jaknajusilniej starającym się te zmiany urzeczywistnić bez gilotyny, bez nikczemnych rzezi, bez pełnych nienawiści haseł i bez zniszczenia.

Przedstawiciele światopoglądu wielkorewolucyjnego bądź zaprzeczają, że tradycyjna monarchja była ustrojem narodowym, bądź twierdzą, że W. rewolucja stworzyła wyższe, pełniejsze pojęcie narodu i patriotyzmu. Te poglądy oparte są na woluntarystycznem, indywidualistycznem, mechanicznem rozumieniu narodu, jako zbiorowiska jednostek, a nie na organicznem pojmowaniu go, jako jedności pokoleń związanych przez krew i tradycję. W ustrojach, które Francja poznała od czasów Wielkiej rewolucji nie ma rzecznika trwałych interesów publicznych, jak to doskonale przedstawił b. premier A. Tardieu w *„Le souverain captif”* i w *„La profession parlamentaire”*. Patriotyzm oparty na pryncypiach wielkorewolucyjnych przekreśla wieki, które stworzyły osobowość narodu francuskiego, której Ludwik XIV jest dobitnym wyrazem. Entuzjazmujący się „patriotyzmem” I-ej republiki „narodowi republikanie” III-ej republiki, Gambetta, Boulanger, pani Juliette Adam, Deroulède, Clemenceau byli zdania, że kultem rewolucyjnie rozumianej Ojczyzny trzeba zastąpić ideały religijne, że odebrane Bogu świątynie trzeba oddać „wielkim ludziom”. Takie opaczne pojęcia znalazły swój wyraz także w zapatrywaniach się na króla-słońce; P. de Nolhac w *„La résurrection de Versailles”* zanotował, że gdy kiedyś (nie z własnej zresztą inicjatywy, lecz na prośbę swej córki) Clemenceau przyszedł zwiedzić Wersal, to zwrócił się impetycznie do Nolhac'a, zapytując go, dlaczego Ludwika XIV nazywają „Wielkim”, bo on nie wie dlaczego.

Zewnętrzny wygląd, sposób zachowania się i upodobania dotyczące nawet drobiazgów charakteryzują Ludwika XIV, jako monarchę. Nie chciał nigdy obrażać, bo mawiał, że przez okazywanie gniewu, przez nie panowanie nad sobą poniżał by godność królewską; systematyczność, punktualność, zamiłowanio do symetrii, do wielkich przestrzeni i pięknych, dalekich perspektyw, to wszystko było wyrazem harmonii w umyśle króla i bystrości niezakłóconej obawami o utrzymanie się na stanowisku. Ten król z królów kierował się nieświadomie nawet prawidłami rządzenia przekazanymi mu przez krew i otaczającą go tradycję; stwierdzając, że „funkcja królów polega głównie na kierowaniu się zdrowym rozsądkiem” nie wiedział zapewne Ludwik XIV, że jakby parafrazuje słowa Filipa Pięknego wygłoszone w roku 1286: „Zawsze chcemy zachować rozsądek (*„Nous qui voulous toujours raison garder”*). Monarcha, który był zdania, że „w sprawach państwowych trzeba czasem rozcinać to, czego nie można rozwiązać” i że „gdy chodzi o obronę korony lepiej zamiast niej postradać życie”, który stanął ze szpicrutą wobec parlamentu i zarządził dragonady wobec hugonotów, bezwątpienia nie dopuściłby do rewolucji i Ludwik XVI także by jej uniknął, gdyby stosował wskazania swego po trzykroć pradziadka.

Racja stanu nakazywała Ludwikowi XIV wyrzeczenie się wszelkich „humorów”, nastrojów, osobistych względów i uprzedzeń. Ludzki z natury i współczujący, serdecznie kochający bliską rodzinę, wydawał się jednak Ludwik czasami nieczułym i bezwzględnym, gdyż nie chciał aby wydarzenia natury personalnej wykolejały działanie instytucji. Godność ludzką i życie ludzkie szanował i oszczędzał więcej od korsykańskiego zdobywcy, który oświadczył: „Cóż znaczy milion żyć ludzkich dla takiego człowieka jak ja”. Król Ludwik znał osobiście prawie wszystkich oficerów armii francuskiej, która w nowożytnym tego słowa znaczeniu powstała dopiero dzięki niemu i markizowi Louvois; troszczył się Ludwik zarówno w czasie wojny jak pokoju o zaopatrzenie i zdrowie oficerów i żołnierzy, a gdy kiedyś mała *duchesse de Bourgogne* (była jeszcze dzieckiem po sprowadzeniu jej do Francji) wyśmiewała się z brzydoty pewnego oficera, król dość ostro kazał jej milczeć i podnosząc głos oświadczył: „Uważam, Pani, że to jeden z najpiękniejszych ludzi mego królestwa, bo jeden z najdzielniejszych”. Niektórych ludzi wyróżniał Ludwik, odczuwając do nich osobistą sympatię, ale jak tylko okazało się, że komplikują sytuację lub szkodzą choćby nie przez złą wolę, lecz przez nieudolność, wtedy odsuwał ich będąc zdania, że zrobiony błąd trzeba naprawić nawet z uszczerbkiem dla cnoty dobroci; uwięzienie w Bastylii księcia Lauzun'a i dymisjonowanie ministra Chamillart'a są uderzającymi dowodami powyżej określonej taktyki monarchy.

Oznaki czci i admiracji, które okazywano królowi-słońcu za jego życia mogą nam się dzisiaj wydać trochę przesadnymi, ale czyż dzisiaj nie jesteśmy świadkami uczczenia domniemanych „nadludzi” w sposób, który wydawałoby się, że był usprawiedliwiony za legendarnych czasów. W każdym razie Francuzi lepiej siebie znali i szanowali, składając hołdy temu żyjącemu obrazowi Ojczyzny, jakim był Ludwik XIV, niż entuzjazmując się dźwiękiem głosu trybunów w rodzaju Gam-

betty i Briand'a. Pomniki Ludwika XIV przypominają o czasach, gdy na całym świecie słowo „król" bez bliższego określenia oznaczało króla Francji i gdy panowała ta „przewaga francuska", która tak imponowała światu, że reprezentowana przez nią cywilizacja pokojowo zdobyła wszystkie kraje ludów białej rasy. Pomniki Dantona, „złodzieja, tyrana, mordercy" (Tardieu — „*Le souverain captif*") i Gambetty, który wolał swą kochankę, od Francji, budzą zdziwienie, smutek i oburzenie szanujących siebie Francuzów i tych cudzoziemców, którzy są prawdziwymi przyjaciółmi Francji.

W swojej „*La révolution française*" Gaxotte streszcza stosunek Ludwika XIV do Francji w następujących słowach: „Przez lat pięćdziesiąt Francja podziwia siebie (*s'admire*) w Ludwiku XIV, bo jest on rozsądny, umiarkowany, ścisły, metodyczny, bo panuje nad sobą, bo jego uczucia są szlachetne, życie pełne chwały i dobrze ułożone. Ten sam ideał daje natchnienie całemu wiekowi, Colbert i Vauban wyrażają go z taką samą siłą jak Racine, Poussin i Bossuet. Kazania Bourdaloue'a, instrukcje Hugues de Lionne'a noszą znamię tego ideału z tej samej przyczyny co Louvre, Wersal i komedie Moliera. Ludwik XIV dał Francji królowanie nad światem i dzięki niemu Francja kontynuowała świetne dzieło Aten i Rzymu". Jest nonsensem przeciwstawianie króla i sław, które opromieniły jego panowanie; bez tego królewskiego słońca nie byłoby tych promieni, albo byłyby tylko siewcami anarchji, nie współdziałając w sposób uporządkowany (jak to się stało z wielkimi talentami francuskimi w XIX wieku).

Ludwik XIV spełnił całkowicie zadanie wyznaczone mu przez odziedziczone dostojeństwo, a wywiązanie się z zadań najwyższego kierownictwa, kontroli i koniecznej represji było skutkiem przejęcia się przezeń poczuciem królewskości, obowiązkami „rzemiosła królewskiego". Tylko król z urodzenia mógł być takim jak Ludwik XIV i dlatego nielogiczne jest (najzupełniej wyjątkowo zresztą) określenie Maurras'a, powtórzone (chyba ze względu na Maurras'a) przez Bainville'a w jego „*Les dictateurs*", że Ludwik XIV był „*dictateur et roi*", te dwa słowa są sprzeczne, dyktator wyklucza króla, a król dyktatora, w jednej osobie nie może się połączyć król — monarcha urodzony, legitymny i dyktator — człowiek, który w pochodzie na szczyty musi tracić wartości i możność zdobycia wartości psychicznych i moralnych, które posiada z natury już nie tylko monarcha dziedziczny, ale każdy zwykły „dziedzic", siedzący na „ojcowiźnie". Wyżej wskazana nielogiczność maurrasowskiego określenia wynika, zdaniem naszem, z nieintegralnie polityczno-historycznych i polityczno-prawniczych kryteriów Maurras'a, który, nie zapominajmy o tem, jest nietylko myślicielem politycznym, ale w równej mierze filozofem, literatem i poetą.

Przeciętna opinia publiczna ma o Francji króla-słońca sąd inspirowany przez notatki mizantropa La Bruyère'a, zaś sądząc samego króla powtarza złośliwie uwagi księcia de Saint-Simon. To wielbiący króla pruskiego, „Wielkiego Fryderyka", pisarze historyczni tak rozpowszechnili opinie zażartego feudała arystokraty, Saint-Simon'a, dlatego, że stara się on obniżyć wielkość Ludwika XIV; to ciekawe sprzymierzenie się demokratów z ultrasem feudalnym ujawnia ich złą wolę. Wiek XIX, wiek romantyzmu, liberalizmu i imperializmu, wiek monstrualnych egoizmów indywidualnych, nienawiści klasowych, prądów kosmopolitycznych i międzynarodówkowych nie mógł rozumieć Ludwika XIV. Za czasów Restauracji na pierwszym planie stawiano Ludwika IX Świętego i Henryka IV, monarchów jeszcze jednostronnych Francji jeszcze niezupełnej; Ludwik Filip był dumny z powodu zewnętrznego podobieństwa do króla-słońca, ale to było jego uczucie osobiste, czci dla Ludwika XIV nie mógł on rozpowszechnić w swojej „monarchii lipcowej" i sam nie rozumiał wielkiego swego poprzednika, którego nie był potomkiem (książęta Orleańscy pochodzą od Gastona młodszego syna Ludwika XIII), o czem świadczy zepsucie Wersalu przez dodatki i zmiany uczynione z inicjatywy „króla barykad". Dopiero może nasze stulecie po ciężkich, strasznych doświadczeniach, po okresach anarchii przeplatanych tyraniami, odzyska ideał równowagi, piękna i prawa, którego uosobieniem jest Ludwik XIV.

Przedstawiciele wieku ludwikowskiego niesprawiedliwie, przyznać to trzeba, oceniali wieki średniowieczne, choć organicznie z czasami Ludwika XIV związane, i zbyt się przejmowali wspomnieniami Rzymu, którego dziedzictwo przeszło do państwa króla-słońca, ale przecież w mniejszym stopniu niż średniowiecze, które do spadku rzymskiego dodało element chrześcijański, wzbogacony za renesansu i w czasach nowożytnych przez ten monarchizm, który znalazł w Ludwiku XIV tak potężny wyraz.

W wieku XIX, wieku apelu do zniwelowanych mas, do cudzoziemców i do kosmopolitów z trudnością torowało sobie drogę poczucie i przekonanie o konieczności apelu do Króla; w naszym wieku na przeszkodzie wezwaniu do monarchji tradycyjnej stoją widma „nadludzi"-dyktatorów.

LESZEK GEMBARZEWSKI

O PEŁNIĘ ŻYCIA ETYCZNEGO I.

DWA ŚWIATY ETYKI

DWA SĄ rodzaje czynów etycznych, gdy idzie o miejsce, w którem się urzeczywistniają. Jeden świat zjawisk etycznych zachodzi wewnątrz nas, na drodze ściśle prywatnej, osobistej, w sposób niewidzialny, niejako ukryty dla otoczenia, inne zaś czyny etyczne uwidocznić się muszą na zewnątrz nas, w sposób z konieczności widzialny, częściowo lub całkowicie publiczny. Czynem etycznym pierwszego rodzaju jest naprzykład religijny akt strzelisty, dokonany myślą, powzięcie jakiegoś postanowienia; czyn etyczny drugiego typu, to, chociażby, praca w akcji katolickiej, praca polityczna, spowiedź, Komunia święta, artykuł angażujący autora w wir walki z bezbożnictwem lub, jak w Hiszpanii, walka z bronią w ręku przeciw czerwonym.

Gdy pierwszy rodzaj czynu etycznego odbywa się tylko na płaszczyźnie stosunku ściśle osobistego między Bogiem a naszą wolą i poza tem niczego oraz nikogo w sposób dotykalny, fizyczny

nie dotyczy, to czyn drugiego typu układa się w określony stosunek naszej woli do świata. Stosunek ten wyraża się w konkretnej postawie podmiotu działającego etycznie — wobec rzeczywistości i angażuje na skutek tego w tę postawę naszą osobę, nasze dobra, nierzadko naszą wolność i egzystencję. Tu sam stosunek do Boga nie wystarcza, a raczej tu nasz stosunek do Boga musi się uwidaczniać w sposób pośredni przez naszą postawę wobec człowieka, przyrody, sytuacji, kultury, problemu i t. d. Oto czemu drugi rodzaj czynu etycznego jest daleko bardziej złożony, w formy bogatszy, skomplikowany, trudniejszy i może sprowadzić na człowieka, czyn ten wykonującego, przykre następstwa, nawet nieszczęścia.

Czy więc co dziwnego, że daleko rzadziej ten drugi typ czynu etycznego się praktykuje? Kto kocha wygodę, będzie unikał czynów etycznych, które jest obowiązany wykonywać na zewnątrz siebie, oczywiście, z wyjątkiem czynów łatwych. Czynów etycznych zewnętrznych, trudnych zaczęli unikać masowo chrześcijanie od czasów „odrodzenia". Stan ten trwał do dziś, a trwał dlatego, że podczas ostatnich pięciu wieków dominowała w woli chrześcijan pewna zasadnicza postawa — postawa wygody. Nie idee bowiem rządzą światem, ale postawy woli. Symbolem chrześcijaństwa jest nie myśl, ale krzyż. Myśl chrześcijańska jest tylko przy krzyżu i im bardziej jest przy krzyżu, tym bliższa jest prawdy.

Ale nie zawsze unikano czynu etycznego drugiego typu. Była epoka, kiedy ten rodzaj wyżycia się etycznego pasjonował ogół, kiedy usiłowano wszystko czynić w życiu zewnętrznem po chrześcijańsku. Było to w średniowieczu. Nie obawiano się wówczas trudności nieodłącznych od działania etycznie na zewnątrz i na skutek tego nie wyobrażano też sobie wtedy, by nie można było dosłownie wszystkiego w świecie rozwiązać i urządzić po chrześcijańsku. [1]) Mogą teraz ci i owi „realiści" nazywać ów rozmach etyczny naiwnością, lecz błogosławiona to była „naiwność". Właśnie typowy człowiek średniowiecza, tem różnił się od typowego katolika dzisiejszego, że nie bał się trudności i przykrych dla siebie konsekwencji, gdy miał rozwiązywać jakąkolwiek sytuację zewnętrzną o charakterze państwowym, społecznym, kulturalnym — po chrześcijańsku. Człowiek średniowiecza nie tylko był gotów mężnie ponosić skutki postępowania na zewnątrz po chrześcijańsku, ale tej samej gotowości żądał od drugich nawet pod przymusem prawa. Katolik współczesny, ostatniej doby, też gotów jest do tejże konsekwencji, ale dopiero wtedy, gdy już wszystko się wali w gruzy bezpowrotnie. Zdecydowany odruch katolików hiszpańskich dopiero nastąpił w ostatniej chwili i wyłącznie na skutek najokropniejszych zbrodni tamtejszych bezbożników. Gdyby te zbrodnie były trochę łagodniejsze, dalej trwanoby w mniejszym lub większym marazmie, przeplatając mniej lub więcej ciepłe momenty życia... dyskusjami katolickimi na aktualne tematy, naprzykład — czy wolno używać siły w obronie wiary, co to jest istota tej lub innej prawdy w Kościele i t.p., czyli tam, gdzie chodziło by o rozwiązywanie najtrudniejszych problemów życiowych, umiano by sięgnąć co najwyżej do... gadania na tematy drażliwe i ciężkie, nic więcej.

Coraz powszechniejsze zaniedbywanie praktykowania życia zewnętrznie etycznego, coraz mniej chrześcijańskie rozwiązywanie narzucających się problemów — sprowadziło nasampierw upadek średniowiecza, potem zwyrodnienie „odrodzenia", baroku, wrzenia rewolucyjne XVIII, XIX i XX wieków i dzisiejszą moralną katastrofę świata. A przecież w dzisiejszym świecie żyje blisko czterysta milionów katolików. Czemuż nie odgrywają oni należytej roli? — Bo nie żyją „na zewnątrz" po chrześcijańsku, bo etykę katolicką w praktyce rozbijają katolicy: na wewnętrzną, łatwiejszą, której nakazy naogół wypełnia się mniej lub więcej poprawnie i na etykę zewnętrzną, bez porównania cięższą, przeto pomijaną, obchodzoną, zaniedbywaną, co z kolei jest powodem tego, że życie chrześcijan - katolików przeczy chrześcijaństwu.

Dopiero powrót do praktykowania pełni etyki chrześcijańskiej, a więc wyrównanie braków w postawie etycznej zewnętrznej katolików wobec otaczającej ich rzeczywistości — przywróci zachwianą równowagę moralną nasamprzód wśród samych chrześcijan-katolików, a potem i w społeczeństwach katolickich, a co za tym idzie — w świecie całym.

Ten powrót będzie najeżony straszliwymi trudnościami, bo od wieku XIV niechętnie modelują chrześcijanie świat zewnętrzny po chrześcijańsku, niewiele ich to nawet obchodzi, a dzieje się tak dlatego, że takie modelowanie jest trudne, często niesłychanie trudne, gdy tymczasem od wieku XIV przechodzą chrześcijanie aż po dziś dzień epokę wygody. Wygodnej postawy nie przerwał też barok, który był tylko półśrodkiem. Nic dziwnego, że jako półśrodek sprowadził dwa wieki... przewrotów antychrześcijańskich (w. w. XVIII, XIX, XX). Krótko mówiąc, nie mamy kilkuwiekowej tradycji, jak się urządzać na zewnątrz w życiu prywatnem i publicznem — po chrześcijańsku: w postawie jednostki wobec życia i w organizacji świata; mamy natomiast pięciowiekową tradycję, jak ratować życie etyczne zewnętrzne półśrodkami — po katolicku. Toteż dziś obserwować można zasadniczy rozdział katolików na dwa odłamy: jedni — to tradycjonaliści, zwolennicy półśrodków w postawie etycznej wobec świata; drudzy, to entuzjaści środków. Pierwsi — to zwolennicy baroku czy humanizmu chrześcijańskiego w jakiejś jeszcze jednej odmianie, drudzy— to zwolennicy poprostu—chrześcijańskiego chrześcijaństwa.

Katolicy drugiej grupy są gotowi żyć etycznie na wewnątrz i na zewnątrz siebie po chrześcijańsku. Maksyma pierwszych: nic co ludzkie nie jest mi obojętne — wygląda wyraźniej w brzmieniu prostszem: nic co wygodne nie jest mi obojętne. Tak brzmi sławetna maksyma renesansowa w przetłumaczeniu na — postawę woli wobec życia. Postawa pierwszych jest bliższa poobiedniej siesty, postawa drugich — krzyża. Pierwsi zanadto chcą spokoju tu, na świecie; drudzy— w niebie. Ci egzaltują się bohaterstwem, tamci ...posadą i mieszkaniem... z łazienką i ogródkiem. Pierwsi nazywają chrystianizm drugich — agresywnym, czynnym, dynamicznym, politycznym, gdy jest to poprostu gotowość do postawy chrześ-

[1]) Porówn. Maritain „O nową cywilizację chrześcijańską", Lublin, r. 1935, str. 69 i inne.

cijańskiej wobec każdego człowieka i w każdych warunkach — nic więcej. Pierwsi chcą być za wszelką cenę i przedewszystkiem, i co najwięcej zwolennikami zgodności tego, co wyznają, co myślą, z minimalnemi żądaniami Kościoła, drudzy chcą za wszelką cenę żyć po chrześcijańsku. Ten podział wśród katolików uświadomionych zarysowuje się w Polsce coraz wyraźniej, rozdziela on katolików na dwie bardzo dalekie od siebie obozy i jednocześnie zwiastuje czasy, w których i żyć będziemy na zewnątrz po chrześcijańsku.

Stwierdziliśmy więc dwa rodzaje czynów etycznych, bardzo różne od siebie, choć oba składają się na jedno życie moralne, do którego realizowania jest obowiązany każdy chrześcijanin-katolik. Jednocześnie zwróciliśmy uwagę na dwie odmienne u ludzi postawy woli wobec życia, z których jedna predysponuje do połowicznego, a druga do pełnego życia chrześcijańskiego.

WALENTY MAJDAŃSKI

SOCJALIZM NA RATY

SINCLAIR-KONTRKANDYDAT PREZ. ROOSEVELTA

CZYTAMY w depeszach z Ameryki, że

„Teść multimiliardera Jakóba Astora — Francis Frank po całkowitej stracie majątku zwrócił się obecnie do rządowego biura pośrednictwa pracy z prośbą o dostarczenie mu zatrudnienia.

Prośbę swą umotywował teść miliardera tym, że zięć nie daje mu na utrzymanie ani też nie troszczy się jego losem. Biuro pośrednictwa pracy oświadczyło Frankowi, że rozporządza tylko miejscem kopacza na robotach ziemnych.

Frank pracę tę przyjął.

Wiadomość powyższa wywołała w towarzyskich kołach Nowego Jorku wielką sensację.“

Jest to nietylko towarzyska sensacja. Jest to jaskrawy wyraz przemian gospodarczo-społecznych i wstrząsów, jakim St. Zjedn. Am. Północnej ulegają od szeregu lat. Stany Zjednoczone nie mogą wybrnąć z kryzysu. To jest podłoże, sprzyjające powstawaniu różnych radykalnych poglądów. Rozpowszechnia się tam komunizm, nietylko jako wynik kryzysu bądź zręcznej agitacji, lecz również jako odruch przeciw t. zw. faszyzmowi, a właściwie hitleryzmowi. Społeczeństwo amerykańskie wpada z deszczu pod rynnę. Nic dziwnego, że na tem tle bawiono się tam nawet w proroctwa. Wielki Piątek miał być dniem zwrotnym. Ale niestety Wielki Piątek minął, a dobrobytu nie widać. Wobec tego prezydent Roosevelt zaproponował stworzenie sztucznej konjunktury, opartej o inflację kredytową. Mają być uruchomione na wielką skalę roboty publiczne i w obieg zostanie puszczonych około 5 miljardów dolarów. Tyle prezydent Roosevelt przeznacza na ratowanie amerykańskiej konjunktury.

Kuracja bardzo kosztowna. Czy będzie zbawienna? Niedługo się dowiemy. Bądź co bądź ratuje narazie Stany Zjednoczone od dalszych następstw klęski bezrobocia.

A najważniejsze, że rozpoczęła się już kampanja przedwyborcza i prez. Roosevelt chce mieć atuty w ręku. Prezydenta popierają demokraci, ale i wśród nich znajduje się sporo przeciwników Nowego Ładu czyli polityki prezydenta. Do głosu doszły też organizacje robotnicze i wywierają znaczny wpływ, zwłaszcza jeśli chodzi o Roosevelta. Tradycyjna polityka dwuch stronnictw, na przemian rządzących Ameryką, uległa deformacji. Wskutek olbrzymiego i przeciągającego się kryzysu gospodarczego, wyłaniają się nowe stronnictwa, jak np. Narodowych Postępowców Ameryki, kierowane przez Filipa La Follete, gubernatora stanu Wisconsin.

Wypłynął również na widownię w okresie przedwyborczym i Upton Sinclair, głośny radykał, znany na całym świecie od lat jako autor rozsławionych książek, demaskujących korupcję amerykańską na różnych polach.

W „Grzęzawisku,“ pierwszej jego książce przełożonej na język polski przez Andrzeja Niemojewskiego przed wojną światową, przedstawił Sinclair potworne stosunki w rzeźniach amerykańskich. Uzyskał rozgłos i spadły nań prześladowania. Trzeba przyznać, że jest to człowiek dużej odwagi cywilnej i niepożytej energji.

W obecnej kampanji przedwyborczej wysunął projekt przekształcenia państwa w jakieś bliżej nieokreślone udziałowe towarzystwo wzajemnej pomocy. Zarysy tego projektu przestawił w swojej książce „Socjalizm na raty,“ której przekład polski niedawno się ukazał.[1])

Jako środek zaradczy w walce z kryzysem proponuje Sinclair kooperatywę wytwórczą, bądź kooperatywę pracy. W traktacie tym, o charakterze niby powieści, przedstawia Sinclair obraz chaosu, w jaki się pogrążyła Ameryka w okresie kryzysu, nędzę bezrobotnych, żywiących się odpadkami, wygrzebywanemi ze śmietników i sypiających w rurach kanalizacyjnych, oraz wysiłki grupy bezrobotnych w Kalifornji, którzy zorganizowali towarzystwo samopomocy o charakterze współdzielczym.

Otóż Sinclair w rozpaczliwem poszukiwaniu drogi wyjścia odkrywa w Ameryce — Amerykę.

Kooperatywy wytwórcze znane są w Europie oddawna. Istnieje o nich bogata literatura, naogół zgodna co do tego, że na sukcesy kooperacji wytwórczej w wielkim przemyśle liczyć nie można. Natomiast kooperacja wytwórcza ma szanse powodzenia w dziedzinie średniego i drobnego przemysłu. Francja jest klasycznym krajem kooperatyw wytwórczych, ale jakoś nie widzimy z tego powodu przeobrażenia stosunków społeczno-gospodarczych. Przed wojną rozpowszechnione były we Włoszech kooperatywy pracy na roli, w Rosji rybołóstwo zorganizowane było w artielach czyli kooperatywach pracy, jaki to typ warto polecić naszym rybakom, łatwiej się bowiem wtedy uniezależnią od pośrednictwa bardzo kosztownego i dla nich i dla konsumentów.

Ale są to tylko środki samoobrony warstw ekonomicznie słabych, zresztą środki stosowane w okresie panowania liberalizmu. A hasłem liberalizmu jest wolność.

---

[1]) Upton Sinclair, Socjalizm na raty, powieść. Warszawa, Rój 1938, str. 475.

Rozwój spółdzielczości ma szanse tylko tam, gdzie jest pewien liberalizm. W gospodarce regulowanej albo częściowo planowej ten rozwój jest już ograniczony, a zaś w planowej dyktatorsko-kapitalistycznej bądź dyktatorsko-socjalistycznej spółdzielczość ma widoki, ale na zagładę.

Drogi ratunku, zalecane przez Sinclaira w jego traktacie powieściowym „Socjalizm na raty,“ wydają się dość naiwne.

Ameryka jest krajem wielkiego przemysłu, krajem multimiljarderów i trustów. Mechanizacja przemysłu doszła tam do najdalszych krańców, wyrażając się w symbolicznym „robocie.“ Czy ten kolos przemysłowy, przechodzący drgawki kryzysowe, zdobędzie się na to, aby przekształcić swą gospodarkę na spółdzielczą, zorganizowaną w średnich warsztatach? Wątpliwe.

Ale ta kooperatywa wytwórcza, która — wedle Sinclaira — ma być ratunkiem wyprowadzającym robotników z kłopotów, staje wobec katastrofy, płynącej z braku pieniędzy. Po pieniądze zaś zwraca się do prezydenta Roosevelta. Prezydent raz da, drugi raz nie da, bo Nowy Ład to nietylko sam prezydent, lecz cała grupa, przez którą p. Roosevelt jest otoczony.

Rooseveltyzm jest systemem, jeszcze nie wyklarowanym; oscyluje on między planową gospodarką dyktatorsko-kapitalistyczną a dyktatorsko-socjalistyczną. W jedną stronę ciągną Roosevelta byznesmeni, w drugą idealiści i marzyciele. A oprócz nich są tam przecie jeszcze banki w rodzaju „Kuhn, Loeb and Co,“ które finansowały rewolucję bolszewicką; jednym z doradców prezydenta jest również F. Warburg (z rodziny finansistów, którzy odegrali olbrzymią rolę we wzroście potęgi niemieckiej), skoligacony z międzynarodową finansjerą i t. p.

Są sfery, zwłaszcza socjalistyczne, które zmierzają do przekształcenia świata w jakąś spółdzielczą republikę. Wyrazicielem tego kierunku jest kooperatysta francuski Poisson, mający i w Polsce licznych zwolenników. Ale musimy się liczyć z warunkami realnemi; z tem, co jest. A wtedy wszystko zależy od tej sfery, która trzyma ster państwa w swych rękach, jak to trafnie w stosunku do spółdzielczości zauważył Väino Tänner na międzynarodowym kongresie kooperatystycznym w roku ubiegłym.

Realizację swego programu nazwał Sinclair „socjalizmem na raty.“ Jest to trafne, ale też i nie zupełnie słuszne. Kooperatywy wytwórcze, bądź spółdzielnie pracy, organizujące element ekonomicznie słaby, mogą krajowi oddać usługi gospodarcze, przez intensyfikację drobnego i średniego przemysłu jakoteż rzemiosła.

Ale czy to jest droga do socjalizmu? Wcale nie. Jeżeli jednak będzie się planowo podważać kapitalizm z góry, w drodze systemu gospodarki regulowanej to dojdziemy do kierowanej spółdzielczości. A to już będzie socjalizm na raty.

Nie wiem czy Sinclair miał na myśli taki tryb postępowania, ale trzeba pamiętać słowa A. Honory Enfield, b. sekretarki międzynarodowej Ligi Kooperatystek: „istotne alternatywy przyszłości leżą pomiędzy pewnemi formami socjalizmu państwowego a pewnemi formami spółdzielczości.“

Takie są tendencje wśród znacznej grupy reformatorów.

W każdym razie ten socjalizm na raty może być wprowadzony w Ameryce nie z dołu, lecz od góry. O ile środki zaradcze na kryzys, któremu uległa Ameryka, są według recepty Sinclaira dość naiwne, to obraz nastrojów w okresie tego kryzysu jest ze wszechmiar godzien uwagi, aczkolwiek opis jest nudny (a może tłumacz tu zawinił?).

Z depesz dowiadujemy się o rozpowszechniającej się coraz bardziej agitacji komunistycznej w Ameryce. Sinclair ukazuje podłoże, które ułatwia to rozpowszechnienie. Powstał tam niebezpieczny dla trwałości ustroju snobizm burżuazji, która „przyszła do przekonania, że o wiele łatwiej pogodzić się z ideałami wywrotowemi, o ile „wywrotowcy“ posiadają ładne mieszkanie i wygodne auto.”

Sinclair jaskrawemi barwy odmalował potwora biurokracji, jakże nam znanego z epoki przesławnych robót publicznych, kiedy to w czwartek zasypywało się rów, wykopany w środę, marnując przez taką gospodarkę olbrzymie pieniądze całkowicie bezużytecznie.

Nie szukajmy u Sinclaira rozrywki powieściowej. Powieść Szołochowa („Zorany ugór”), przedstawiająca tworzenie się w sowietach Kołchozu, stoi o całe niebo wyżej. Ale kto chce co nieco zorientować się choćby na małym odcinku, jak wyglądają amerykańskie poszukiwania i rozwiązanie problematu, tego Sinclair wprowadza w sedno rzeczy.

Godna zastanowienia jest taka oto uwaga Sinclaira: „Nowy Ład roztrwonił miliardy dolarów w celu niedopuszczenia do zysków na rzecz kapitalistów, a jednak kapitaliści osiągali zyski i chowali je do kieszeni bez słowa podzięki, a nawet urągając swym zbawcom.”

Gazety rozpowszechniły podobiznę prezydenta Roosevelta, znanego bodaj na całym świecie. Żywe, pogodne oczy, twarz uśmiechnięta. Sinclair kładzie nacisk na niezwykły podobno osobisty urok Roosevelta. „Ten człowiek podbijał każdego poczuciem, że wszystko, co mu się mówi, staje się dla niego ważne i najbardziej interesujące na świecie. Zdawało się, że wkłada on całą duszę we wszystko, co powie i robi. Jeżeli usłyszał coś smutnego, był do głębi wzruszony i współczujący. Gdy mu ktoś powiedział coś zabawnego, odrzucił w tył głowę i śmiał się głośno... Można mu było wybaczyć wszystkie głupstwa, jakie sankcjonował.”

Oto człowiek stworzony do rządzenia i popularności. Sinclair mimo to wystawia swą kandydaturę przeciw Rooseveltowi. Czy manifestacja czy wyczucie nastroju?

Sinclair jest w „Socjalizmie na raty” zwolennikiem Roosevelta, uważa jedynie, że Nowy Ład idzie naprzód żółwim krokiem, a nadto jest opanowany przez potwora biurokracji. Pod adresem Roosevelta rzuca Sinclair na ostatniej stronie zapytanie: „czy prezydent pozwoli bezrobotnym przejąć ziemię i narzędzia pracy i zabrać się do tworzenia nowego świata wolności i niezależności całego ludu pracującego?” Ze swej strony dodamy, że już wiemy, jak wygląda „przejęcie ziemi i narzędzi pracy” w Rosji oraz związana z tem wolność i niezależność ludu pracującego. Sinclair widać sądzi, że socjalizm na raty, wprowadzony przy pomocy „góry” czyli rządu wyda w Ameryce lepsze rezultaty. *Qui vivra—verra.*

WŁADYSŁAW WOLERT

„ZGRAJA TAJEMNA“
HOENE-WROŃSKIEGO

(Dokończenie)

W JAKI sposób może ludzkość zbliżyć się ku tym końcowym syntezom: politycznej (moralnej) i filozoficznej? — Przez przezwyciężenie w sobie — odpowiada Wroński — swych warunków fizycznych i wywodzącej się z nich świadomości czuciowej (Ja empiryczne, bierne, będące atrybutem zwierzęcia) i przez wyzwolenie swej mocy twórczej, zawartej w ponadfizycznej naturze człowieka od której pochodzi świadomość poznawcza (Ja logiczne, czynne, będące atrybutem wyróżniającym człowieka). W tym właśnie celu — wykłada dalej Wroński — dane zostało rodzajowi ludzkiemu od Boga Słowo, które obecne było w Jezusie Chrystusie i które przyniosło ludzkości odkupienie przez tryumf idei moralnej (dobra). W tym również celu zapowiedziane zostało przez Zbawiciela przyjście Pocieszyciela — Parakleta (Ducha Swiętego), który wyjaśnić ma nam naukę Chrystusa.

Zapowiedź ta i obietnica — twierdzi Wroński — może jedynie zwiastować osiągnięcie Prawdy absolutnej przez człowieka (w ostatnim okresie dziejów t. j. w epoce Parakleta) i — przez to samo — poznanie przez człowieka jego przeznaczeń końcowych. (Wroński pomija fakt obecności Ducha Sw. w czas Pięciodziesiętnicy po Ukrzyżowaniu i Wniebowstąpieniu Chrystusa). Słowo (Logos) oznacza według Wrońskiego samorzutność twórczą rozumu. Przez Słowo, udzielone człowiekowi od Boga w Jezusie Chrystusie, człowiek sam się — jako człowiek — stwarza. Rozwój ludzkości polega na stopniowem urzeczywistnianiu jej przeznaczeń opatrznościowych. Dzięki samorzutności rozumu w człowieku przez działanie Słowa — rozwój ten posiada charakter twórczy, samorzutny. Od samego człowieka zależy, czy osiągnie on pełną rehabilitację w ostatnim 7-ym okresie swych dziejów, co, o ile nastąpi, będzie urzeczywistnieniem przeznaczeń końcowych ludzkości i wypełnieniem czasów. Ten jest, mówi Wroński, plan stworzenia. Ku takim rozwiązaniom prowadzi wewnętrzna celowość Bytu.

W ciągu czterech pierwszych okresów historii ludzkość prowadzona była przez Opatrzność, która wskazywała jej kolejno cel każdego z okresów. Zadaniem ludzi wówczas było jedynie dokonywanie doboru właściwych środków, prowadzących do urzeczywistnienia owych celów, wpisanych niejako w naturę rzeczy, powszechnych i dla każdego myślącego człowieka — oczywistych. W 5-ej, współczesnej epoce celowość objawiona w uczuciu wewnętrznem człowieka wyczerpała się! Człowiek świadomy winien wziąć odtąd odpowiedzialność bezpośrednią za siebie.

Tej „ewolucji twórczej" (Bergson!), która odbyć się ma na ziemi w świetle świadomości i twórczości samorzutnej człowieka, przeciwstawiają się czynniki bierne ludzkości, mające jedynie świadomość „Ja" empirycznego, czuciowego, biernego, właściwą człowiekowi tylko o tyle, o ile jest właściwą całemu światu zwierzęcemu, do którego zalicza się również w niższych swych funkcjach człowiek. Osobniki tego rodzaju, obdarzone świadomością fizyczną, czuciową, pozbawione zaś świadomości hyperfizycznej, poznawczej — powstrzymują w sobie wszelki rozwój samorzutny swego rozumu, t. j. wszelki rozwój Słowa i, oddając rozum w niewolę samym tylko właściwościom fizycznym swego istnienia doczesnego, uwikłują go coraz bardziej w bezwład tego istnienia i posługują się nim w ten sposób, by odtwarzać w nowym świecie stworzenia wszystkie zboczenia starego świata grzechu". Tego rodzaju ludzie stanowią właśnie według Hoene-Wrońskiego „zgraję tajemną" — ów wrzód ropiejący w żywem ciele ludzkości. Jej cechą wyróżniającą — pomieszanie dwóch światów: świata pierwotnego grzechu i świata obecnego: stworzenia albo zbawienia. Mieszanina ta przez swą ekscentryczność we współczesnym świecie nabiera cech „tajemnicy t. j. rzeczywistości niepojętej" i stąd nosi miano „mistycyzmu".

Umysłowość mistyków nie może wyjść poza to, co jest czysto biernem w rzeczywistości naszego istnienia i zamyka się całkowicie w granicach kontemplacji. Dla takiej umysłowości niedostępna jest refleksja. To też nie może ona wznieść się „do tych okręgów, w których — dla spełnienia przeznaczeń właściwych światu obecnemu — człowiek winien stworzyć z jednej strony Prawdę absolutną za pomocą filozofii, z drugiej zaś — Dobro absolutne za pomocą religii". Ta ułomność umysłu mistyków powiada Hoene-Wroński — jest wprost potwornością. Nie mogła ona być poznana przez doświadczenie; dopiero „filozofia absolutna Mesjanizmu" (Wrońskiego!) ujawniła ją i odsłoniła jej istotę.

Wszystko co dotyczy smutnego dziedzictwa starego świata grzechu, przekazywane jest — zdaniem Wrońskiego — z pokolenia na pokolenie za pośrednictwem sprzysiężenia mistyków. Rekrutują się oni, jak już powiedziano wyżej, z pośród ludzi pewnego, szczególnego typu psychicznego (a może nawet psycho-fizycznego?), typu dziś coraz rzadszego, natomiast powszechnego w czasach przedpotopowych, obdarzonego zdolnościami kontemplacyjno-czuciowemi i nieograniczonej mocy intuicją przy nieobecności władz intelektu. Nie będzie od rzeczy przypomnieć w tem miejscu, że popularyzatorzy „wiedzy tajemnej" jak Eliphas Lévy, Papus, Schüré, Maeterlinck, utrzymują, podobnie jak Wroński, że ułamki owej „wiedzy" przetrwały do dziś dzięki tradycji tajnej, przekazanej przez szczątkowe formacje przedpotopowych Atlantów — kongregacjom kapłańskim starożytnego Egiptu, Babilonii, Indii, Chin i t. d.

Tak oto razem z Wrońskim dochodzimy do umiejscowienia „zgrai tajemnej" w czasie i przestrzeni i, co więcej, do określenia jej w jej rodzaju. Odkrywamy ją mianowicie w tajnych stowarzyszeniach mistycznych (z których jedne są „agato-demoniczne" inne „kako-demoniczne", t. j. jak byśmy dziś powiedzieli: reprezentujące „białą" lub „czarną magię"), będących ugrupowania-

mi poniekąd naturalnemi, skupiającemi bowiem ludzi pewnego gatunku, mianowicie „czuciowców-instynktowców". Hoene-Wroński potępia je, co należy podkreślić, nie dlatego, że są to stowarzyszenia tajne (sam nawołuje do tworzenia tajnej, elitarnej „Unii antynomialnej"), lecz dlatego że stanowią sprzysiężenie ludzi typu niższego, „sensytywnego" przeciwko rodzajowi „*homo sapiens*".

*

Przeciwstawienie instynktu — rozumowi i „poczucia" intuicyjnego — poznaniu spekulatywnemu, wznowił w naszych czasach, więc w sto lat po Wrońskim, filozof francusko-żydowski Henryk Bergson.

Wychodząc z podobnych co Wroński rozróżnień, dochodzi Bergson do wniosków zupełnie odmiennych.

Inteligencja, właściwa człowiekowi, — powiada Bergson w swej „Ewolucji twórczej" — i instynkt, właściwy światu zwierzęcemu wogóle, stanowią dwie różne postacie świadomości. Pierwsza jest odbiciem procesu fabrykacji, druga — organizacji. Pierwsza daje wiedzę rzeczy, druga — stosunków. Pierwsza jest znajomością materii; druga — formy. Człowiek będzie mógł wyjść poza granice swej inteligencji dzięki temu, że dokoła naszej myśli logicznej i koncepcyjnej powstała mgławica niezróżnicowana, pierwotna, posiadająca tę samą naturę co instynkt. Instynkt zatem, który jest sympatią, może być kluczem do zjawisk życia, tak jak inteligencja wprowadza nas w materię (bezwładną). Przez instynkt będziemy mogli wejść w sam prąd ewolucji, wniknąć w samą treść bytu. Gdy instynkt stanie się bezinteresownym i świadomym sam siebie, uzyskamy nowe narzędzie poznania: intuicję. Że jest to osiągalne, świadczy najlepiej twórczość artystyczna. Polega ona na twórczem zespoleniu się podmiotu z przedmiotem. Tę samą metodę zastosować należy w dziedzinie poznawczej.

Jakże daleko stąd do „monowładności stwórczej" rozumu, tej istotnej cechy człowieczeństwa, wedle H.-Wrońskiego, przez którą — jedynie i wyłącznie — zdolny jest człowiek osiągnąć nieśmiertelność. Bergson zdetronizował rozum. Sprowadził go do roli rejestratora rzeczy martwych i ciężkich, gdy wszystko co żywe i lotne oddane zostało pod władzę „współrozciągłej z życiem powszechnem" — intuicji. Na miejsce myśli badawczej i refleksyjnej postawił kontemplację mistyczną — zespolenie podmiotu badającego z badanym przedmiotem.

Filozofia Bergsona pojęta być może jako odwrócenie nauki Hoene-Wrońskiego. Twórca tej filozofii, jakkolwiek, o ile nam wiadomo, nie zajmował się w swych pismach krytyką Wrońskiego, winien być uznany za największego, najbardziej zasadniczego jego przeciwnika. To samo dałoby się powiedzieć o Wrońskim, jako pisarzu uosobionym w swym dziele: nie może być zgody między nim a Bergsonem. Ze stanowiska Wrońskiego bowiem Bergson uznany być musi za teoretyka „wiedzy tajemnej" i ideowych tych zespołów mistycznych, które „wiedzę" tę uprawiają, które zaś — on, Wroński — określił jako „zgraję tajemną" i „bandę piekielną", pracującą nad zgubą ludzkości.

S. W.

ILIADA KOGUCIA

WEDŁUG LAFONTAINE'A

Zygmuntowi Kasprzyckiemu

Gdzie diabeł nie da rady, juści, da ją kiecka,
gdzie dwu chłopa, jak bracia, ze sobą się cecka,
na! skądś wionie dzierlatka, kuperkiem zakręci,
mignie zalotnie pysiem, czule oczkiem głaśnie
i słodkiem słówkiem tyle nachachmęci,
ze, szast-prast, kwita z przyjaźni!

O, miłości, miłości! tyżeś to sprawczynią
trojańskiej waśni
i przez ciebie gród zczeznął, Ksant krwią bogów spłynął!

Żyły-były koguty, dwa, od kojca druhy:
Obok pijający w sądku, obok dziobiąc poślad
i dla się wespół czyszcząc ziarno z śnieci,
samowtór brodząc w gęstej latorośli,
dzieląc czerwie i muchy
dostąpiły w opłotku i miru, i wzięcia,
kwoli czupurząt nauki.
Ale się rzekło: diabeł... Już nie ukryć dalej!
Mąt i oman, wiadomo. Czy w śwarnej czubatce,
czy w pstrej zielononóżce, gibkiej popielatce,
czy w antokolce śpiewnej, sułtance wspaniałej,
mniejsza, dość, że na umór mi się rozkochały
w kurzej pięknej Helenie.

Każdy pragnie pieścić się nią,
każdy z osobna zawiść judzi żółcią,
za czub gach gacha:
— Puścisz!?
— A nie puszczę!
i, kikiryki! bójka, na całego!
Dopieroż larum, ciekawych się zbiega,
gdaczą matrony, kwilą podfruwajki
i już jeden z herojów przesławnie plac opiał,
nabańdziuszył się, nadął, wzniósł się ponad ptactwo,
na żerdkę, ni na pomnik, gdy go jastrząb
wytropi
i dopadnie z wysoka i rozszarpie w kęsy.
Pobity galant, który w ciemnym kącie
we łzach szpon goi, gorzko odwet knowa
dźwiga się z klęski i, w koperczaki
do przylepnej wdowy,
i, skrzydło w skrzydło, na grzędzie usiędzie
niedbały o szemrania, o jęzory kwocze!

W posłowiu epopei i ten morał macie:
Muzo! Nigdy nie trzeba się cieszyć przed czasem.

JANUSZ KAWECKI

NA WIDOWNI

Lipiec w Warszawie. — Przy szumie zbóż. — Żywią i bronią. — Rezerwuar biologiczny. — Egotyzm twórczy. — Egoizm.

TUTAJ w Warszawie powietrze w lipcu jest duszne, kamienice dyszą żarem dzień i noc. W Alejach Jerozolimskich wybuchają nasze gejzery; słońce praży poprzez opar kurzu, wypełniającego ulice i płuca wszelkiego żywego stworzenia. Czasem wiatr rzuci nagle przechodniom w twarze dym topiącego się w kotle asfaltu. Jak okiem sięgnąć — przez Nowy Świat i Krakowskie Przedmieście sterczą rusztowania popryskane wapnem, którego zapach miesza się ze spaloną gazoliną. Na jezdniach i w głębokich rowach, sięgających do rur wodociągowych, do tętnic i żył miasta — uwijają się robotnicy o torsach obnażonych, spaleni na brąz, jak na pustyni. Kiedy zdaleka patrzeć, czarny Chrystus przed portalem kościoła Św. Krzyża ledwo majaczy w drgającym powietrzu, w złocistym pyle. Tylko żywym, choć łagodnym blaskiem świeci zielona patyna na wieżach tego kościoła, a jeszcze głębiej i dalej widać, jak wyłania się z mgieł kolumna Zygmunta.

Tak wygląda, urocze panie i dostojni panowie, Warszawa, którą opuściliście, aby szukać zdrowia i spokoju, jonów i witamin, świeżego powietrza i czystej wody, samotności i ciszy. Leżcie sobie na plażach, na mchu leśnym, na łąkach górskich. Niech się wam przyśni wiersz Kasprowicza:

„*O dolce far niente*,
o wczasy, o spoczywania —
powiew po niebie obłoki rozgania,
brzemieniem deszczu wzdęte...

...Zrywa się nagła burza,
dalekie gdzieś słychać grzmoty —
nad złotym jaskrem krąży motyl złoty,
w kielich się jego zanurza...

Ujmujcie, jak poeta, z nieśmiałością i uwielbieniem, ukochane dłonie, pogrążajcie się w „ócz patrzących wieczyste zagadki", spacerujcie po „ścieżkach wyśnionych", chłońcie świeżość przeczystego powietrza i tęczę, wytryskującą, jak napój „z winnic słońca".

Tymczasem są żniwa. Okres najcięższej pracy chłopskiej. Niemal wszystko, co na wsi żyje, wyrusza w pole. „Harówka" jest od świtu do nocy, z przerwą obiadową, kiedy bydło wraca z pastwisk do obór a ludzie do chat, a pola stoją w skwarze słonecznym, jak urzeczone i chodzi po nich „południca". Około drugiej po południu ludzie znów robią w polu — przepaleni, przygarbieni, z nogami i twarzami podrapanymi słomą, z rękami pokłutymi ścierniskiem. Po grzbietach ścieka pot, zmieszany z plewami. W powietrzu pył z ziemi i ze zboża. Temperatura w słońcu przekracza czasem 40° C.

A jest to najczęściej praca nad siły, a więc niszcząca zdrowie, bo siły fizyczne ludności wiejskiej są coraz słabsze. Przed sprowadzeniem kartofli z Ameryki, a nieraz i potem — mieliśmy na wsi chińskie przednówki, kiedy grzyby, jarmuż, lebioda i pokrzywa nie wystarczały i głód dziesiątkował ludzi. Czasy niedawne, przedwojenne przyniosły hasło „Chłop potęgą jest i basta!" U Wyspiańskiego było to napoły uznanie, napoły satyra. Kasprowiczowskie „Jest w ludzie siła niepożyta" była uznaniem — i pragnieniem. Ale krzyżują się z tymi hasłami poetów inne ich wynurzenia. Dość przypomnieć hymny Orkana i „Swięty Boże" Kasprowicza. Przez usta „synów ziemi" przemawiała nędza ludu. Dzisiaj jest znacznie gorzej. Kto wsi nie zna i nie może przypatrzeć się jej życiu, niech zobaczy drzeworyty Kulisiewicza, niech przyjrzy się tym dzieciom, wychudłym i zbiedzonym, o zdegenerowanej sylwetce, tym chłopom i babom, o twarzach, opuchłych z głodu, o brzuchach wydętych od kartofli. W ich postawie i wyrazie twarzy jest niewolnicza rezygnacja, otępienie, bodaj zbydlęcenie. Klatki piersiowe zapadłe, ramiona chude, tylko dłonie i stopy ogromne, ze skórą zrogowaciałą i posiekaną, z palcami rozczapierzonymi bezwładnie. Karykatura wizji artystycznej? Nie. Wizerunek wierny „człowieka poczciwego", „człowieka szarego", do którego co jakiś czas ktoś „staje frontem". Portret — połowy „naszej dzisiejszej wiejskiej Polski".

Tak, proszę państwa. Rezerwuar biologiczny narodu jest dziesiątkowany przez głód i gruźlicę.

Kogo nie przekonał drzeworytnik — niech posłucha alarmów Polskiej Macierzy Szkolnej o nędzy na Polesiu. Niech wyszuka w roczniku „Polonii" katowickiej (grudzień, 1937 r.) sprawozdania z afery trucicielskiej w jednej z gmin powiatu ostrowieckiego (C. O. P.). Niech dowie się, jaki głód panuje na wiosnę w świętokrzyskiem, jaki odsetek wieśniaków pożera gruźlica w tej „Szwajcarii polskiej".

Niech przypomni sobie płacz chłopstwa, żalącego się podczas strajku w Małopolsce oficerom W.P.: nie mamy co jeść... dzieci nam umierają... Niech spojrzy w oczy młodzieży podhalańskiej, odmawiającej Litanię za Wielką Polskę Adama Doboszyńskiego: o ojczyznę dla ubogich prosimy Cię, Panie...

Żywią i bronią... Oczywiście, potrzebni jesteśmy wszyscy — i czarnoroboczy i inżynierowie i urzędnicy i artyści i intelektualiści „najczystszej" wody. I producenci zboża i nabiału i szafarze łask Bożych i organizatorzy państwa i społeczeństwa i myśliciele.

Ale równowagi społecznej niema, proporcje zdrowe ciężarów i korzyści gospodarczych nie są zachowane, polityka ekonomiczna państwa nie zapobiega niszczeniu się warsztatów rolnych, nie dba o zdrowie fizyczne, o tężyznę rasową chłopa. Potrzeby organizmu społecznego i funkcje państwowego nie są sharmonizowane.

Na wywczasach letnich, kiedy zbraknie towarzystwa, książki rozrywkowej, czwartego do bridża — albo ochoty do tego wszystkiego, przy szumie zboża i brzęku sierpów — myśl inteligenta snuje się zwykle leniwie za obłokami, zdaleka dochodzą głosy żniwiarzy jako jeden z wielu dźwięków błogiej symfonii przyrody.

Dolce far niente...

Dom na mieszkanie własny mam,
w niczem nie wbiegłem w cudzy ślad,
każdegom mistrza wyśmiał rad,
który nie wyśmiał siebie sam" —

napisał Nietsche „nad drzwiami swojego domu".

Niech ostatecznie chwalą sobie taki egotyzm twórczy pięknoduchy i filozofowie. Bóg z nimi. Nie samym chlebem człowiek żyje.

W tej drabinie społecznej, pod której brzemieniem upada nasz chłop, największy ciężar gatunkowy ma elegancka dama w artystycznych pantofelkach, w jedwabiach zagranicznych, z prześlicznie ondulowaną główką — i jej partner, którego rozrywki w tygodniu kosztują tyle, ile wynosi przeciętny budżet roczny rodziny chłopskiej.

Do zniszczenia rezerwuaru biologicznej energii polskiej zmierzają wszystkie skłonności sybarytystyczne i egoistyczne, cały nasz kult „poziomu“, „stopy życiowej“, wygody i luksusu.

Ktoś nie śpi, aby mógł spać ktoś — to są zwyczajne dzieje.

TADEUSZ DWORAK.

GŁOSY

BOLSZEWIZM W ZWIERCIADLE PSYCHOLOGII

ZNANA to rzecz, iż w okresie zaburzeń, wojen czy rewolucji wyzwala się bestja z człowieka, który staje się gorszy od wilka, bo rzadkie są wypadki, aby wilki się pożerały.

Historycy spisali tomy całe na temat roli zbrodniarzy i ludzi chorych podczas przewrotów rewolucyjnych. We Francji nazywają to newrozą rewolucyjną. A jest to raczej obłęd. Skoro bowiem uzmysłowimy sobie wszystkie sadystyczne okrucieństwa choćby ostatniej rewolucji bolszewickiej, wtedy z nieprzepartą siłą nasuwa się podejrzenie, że większość tych zbrodniarzy okresu rewolucji, to typy patologiczne, ludzie chorzy, nadający się do zakładu zamkniętego. Oni zaś przeważnie zasiadają w trybunałach rewolucyjnych bądź różnych Czeka.

Słynny lekarz francuski Carrel zwraca uwagę na zastraszający wzrost chorób umysłowych. Według ostatnich, z przed kilku lat wyliczeń, Lenza, w Niemczech jest przeszło ćwierć miljona umysłowo chorych, do dwustu tysięcy głuptaków, siedemdziesiątsześć tysięcy idiotów, sto tysięcy epileptyków i sześć milionów psychopatów!

A więc co dziewiąty-dziesiąty mieszkaniec III Rzeszy jest nienormalny.

A jak zastraszająco musi się przedstawiać stan zdrowia psychicznego w Sowietach? Tam, gdzie po przez dwadzieścia lat krwawego teroru ukształtował się człowiek komunistyczny, jako typ odrębny?

Właśnie tą psychopatologią komunizmu zajął się ks. dr. Józef Pastuszka w rozprawie swojej zamieszczonej w pracy zbiorowej, poświęconej bolszewizmowi. *Bolszewizm.* Praca zbiorowa obejmująca 11 rozpraw różnych autorów. Lublin. Uniwersytet, Twa Wiedzy Chrześcijańskiej, 1938, str. 326.

Ks. Pastuszkę zastanowił fakt niezmiernie charakterystyczny, a mianowicie, że komunizm ma także i jednostki ofiarne itd.

Aby zjawisko to wyjaśnić ks. Pastuszka opracował typologię człowieka komunistycznego. I z pośród bogatej galerii typów psychologicznych wyodrębnił najbardziej charakterystyczne.

Jedni to wizjonerzy, utopiści, którzy dla realizacji swego marzenia niszczą rzeczywistość, aby na jej gruzach zbudować idealny ustrój, którego zresztą nigdy nie mogą wprowadzić w życie.

Tacy utopiści, zdobywszy władzę, z najzimniejszą krwią mordują setki tysięcy ludzi, jak Robespierre czy Lenin. Stalin kilka milionów chłopów skazał na śmierć, wprowadzając kołchozy.

Rozpowszechniony jest również typ amoralny, który w komunizmie znajduje odpowiednią atmosferę ideową dla swego dynamizmu życiowego. Ci wszyscy, dla których sumienie, nakazy etyczne, głos opinii są trudnemi do znoszenia powściągami, czują się właśnie dobrze w atmosferze komunizmu.

Odmianą typu amoralnego jest bezideowy karjerowicz i typ rewolucyjnego awanturnika. Trafiają się owe typy nie tylko w Sowietach, ale komunizm umożliwia im najlepiej zdobycie karjery i możność wyżycia się, osobiście więc ma bolszewizm dla nich duży urok.

Krańcową formą typu amoralnego jest typ patologiczny o sadystycznych skłonnościach. Pełno ich jest we wszelkich czerezwyczajkach.

Na początku zwłaszcza rewolucji bolszewickiej grał pewną rolę typ resentymentu życiowego, to znaczy typ psychiczny powstały z uczuć zawiści. Wielu ludzi zwichniętych w karjerze życiowej weszło na drogę rewolucyjną poprostu z przyczyn nienawiści do otoczenia. Nienawiść ta była motorem życiowym, popychajacym ich do działalności wywrotowej. Oczywiście działali w myśl określonego opętania jakąś wizją.

Typ utopistów i resentymentystów nawarzyć może jeszcze ładnego piwa w Sowietach.

Zdać sobie jednak musimy sprawę z tego, że po dwudziestu latach odpowiedniej tresury powstał w Rosji człowiek komunistyczny, jako typ odrębny. Nietylko doktryna, ale i jej realizacja w dzisiejszej Rosji, wytworzyła i urobiła tego człowieka. O ile pokolenie przedwojenne, urodzone i wychowane w innej atmosferze, aczkolwiek wykoszlawione duchowo i na wymarciu, ale może mieć jeszcze w duszy jakieś pozostałości z innego klimatu duchowego, to młodzież stanowi masę ludzką jakby z innej planety.

Jednostka nic tam nie znaczy, człowiek nie jest ważny, natomiast ważny jest kolektyw. To jest zasada wychowania społecznego. Została więc zniwelowana indywidualność. Człowiek jest zero. Ale kolektyw ludzki może wybudować kanał, a kanał jest właśnie ważny. Dlatego też na dalekiej północy przy budowie kanałów zginęło kilkaset tysięcy ludzi. Człowiek to pyłek.

Ważna jest elektryfikacja kraju, traktory, fabryki.

Nastąpiło nietylko pomniejszenie, zniwelowanie i depersonalizacja człowieka; co więcej, człowiek został oderwany od Boga. Swiatopogląd prymitywnie materialistyczny, wprowadziwszy niewolę myśli, uczynił człowieka tylko mechaniczną cząstką kolektywu. Człowiek stał się narzędziem do osiągania celów gospodarczych.

W Sowietach wytworzyła się nowa metafizyka, która pojęcia filozoficzne ubrała w szatę ekonomiczną.

Ojcem tej metafizyki — Marx.

Wyniki?

Zastraszające.

Nad krajem panuje moloch biurokratyzmu. Ubolewa oto nad tym Kaganowicz, należący do najwyższych władz bolszewickich. Związek pisarzy sowieckich liczy tylko trzy tysiące członków. Ale

biurem tego Związku zarządza personel złożony z siedmiuset urzędników.

A może panuje równość?

Proszę, oto co pisze R. Mossé, jeden z turystów po Rosji Sowieckiej.

„W nowej kawiarni w Moskwie syci obywatele rozkoszują się brzoskwiniami, a biedni plebejusze patrzą na nich zawistnym okiem, opierając się o witryny. Taki kontrast nie jest rzadki w krajach kapitalistycznych, ale w Moskwie, w stolicy socjalizmu, jest czemś zasmucającem". Poza elitą człowiek został zdeklasowany. Ale i ci z elity nie wiedzą dnia ani godziny, żyjąc w ustawicznym strachu.

Ustrój, prowadzący do takich wyników został zaprojektowany i wcielany w życie chyba przez ludzi, pozbawionych równowagi umysłowej.

Jest zbiorową psychozą, a więc nieszczęściem społecznem o olbrzymim zasięgu.

(W. T.)

PREZES SEN. PROF. MICHAŁOWICZ.

Jeśli można powiedzieć „popularna niepopularność", to powiedzenie to zastosować chyba da się najlepiej do senatora Michałowicza, prof. U. J. P. w Warszawie obdarzonego ostatnio prezesurą formujągo się Stronnictwa Demokratycznego.

Jakie są cele i zamierzenia Stronnictwa, mówi już wiele samo określenie: „„demokratyczne" a jeszcze więcej osoba prezesa, gorliwego obrońcy żydów.

P. prezes sen. prof. Michałowicz pracuje mozolnie na niwie politycznej z niemniej od niego słynnym p. J. Czarneckim, generalnym paszkwilantem, jeśli idzie o ruch narodowy, z „Kuriera Porannego". (Obecnie jego funkcję pełni sam „nacjonalista" p. Klaudiusz Hrabyk). W toku organizacja stołecznego dziennika i — co najśmieszniejsze — organizacja terenu „młodzieżowego". Obsługuje go dzisiaj bliżej nieznany nam tygodnik „Orka na Ugorze".

P. prezes sen. prof. Michałowicz udzielił wileńskiemu „Dziennikowi Powszechnemu" wywiadu w którym dzieli się swymi uwagami na temat konsolidującego się ruchu demokratycznego.

A więc na początku wypowiada w tonie patetycznym zaprawionym przy końcu demagogicznym frazesem o typie dość zastarzałym:

Polska pod względem geograficznym jest objektem zakrojonym na rolę mocarstwową. Zadaniem najważniejszym chwili obecnej jest wypełnienie tych ram geograficznych odpowiednią ilością mózgów, niezbędnych dla obsłużenia tak wielkiego państwa. Grupki reakcyjne, nacjonalistyczne i klerykalne myślą jedynie o interesach swoich drobnych podwórek, nie są w stanie objąć zagadnienia państwa jako całości.

Zdolny jest oczywiście prezes sen. prof. Michałowicz. Oto jak sobie wyobraża swoje zadanie:

„Jak poucza nas doświadczenie całego świata, równowaga państwa może być utrzymana przez zbieżną, a niejednokrotnie rozbieżną pracę 3 wielkich członów: prawicy, centrum i lewicy. Człowiek, który w realnym życiu państwowym poważa się wykreślać jeden z tych członów z życia narodu, wystawia sobie świadectwo ubóstwa."

„Jeśli chodzi o mnie, uważam za najpotrzebniejsze: stworzenie w państwie polskim centrum. Zadaniem jego winno być utrzymanie równowagi między prawicą a lewicą. Centrum ma w każdym kraju inny charakter, w zależności od istniejących w danym kraju warunków. Zasadniczym warunkiem Polski jest skład jej ludności. Cztery piątych Polski stanowią chłopi i robotnicy."

"Polska partia centrowa musi przede wszystkim uwzględnić interesy tych dwu warstw naszego kraju. Z natury rzeczy polskie centrum musi zezować na lewo. Zezowanie na prawo musi ograniczyć się do przeciwdziałania niepoczytalnym wybrykom reakcyjnym i totalistycznym".

Zez jako założenie Stronnictwa nie jest cechą dodatnią. Może niepozwolić spojrzeć prosto w przyszłość. Ale słuchajmy dalej prezesa:

„Każda rewolucja rozpoczynała się od niezwykle postępowego programu, kończyła się ruchami, świadczącymi o nieokiełzanym zdziczeniu. Bogatsze w doświadczenie historyczne polskie Stronnictwo Demokratyczne położy największy nacisk na wychowanie kulturalnego Polaka".

Co to jest „kulturalny Polak"? To — według sen. prof. Michałowicza przede wszystkim Polak tolerancyjny (czytaj: tolerujący żydów). Jak wygląda tolerancja demokratyczna?

„W wypadku, gdy prawica będzie upierała się przy swych zakusach doprowadzi to tylko do krótkiego spięcia, przy czym spięcie może być tak silne, że zginie i prawica i całe państwo.

A więc w razie nieudania się koncepcji politycznej ni mniej, ni więcej, tylko groźba upadku państwa.

„Myśl jagiellońska uczyniła ongiś Polskę potężną, a zmodernizowana myśl jagiellońska uczyni ją takąż w przyszłości".

Czy te groźby są drogami szlachetnej myśli jagiellońskiej? Może zmodernizowanej. My jednak wolimy „takąż" w starym autentycznym wydaniu.

Z OBCEGO ŚWIATA

MORALNE ZWYCIĘSTWA ŻELAZNEJ GWARDII

Z RUMUNII nadchodzą wieści, które świadczą, iż król Karol pragnie stać się nietylko formalnym władcą, ale także faktycznym dyktatorem kraju. Przedewszystkiem Najw. Trybunał Wojskowy odrzucił skargę kasacyjną wodza „Żel. Gwardii" kapitana Corneliusa Zalea Codreanu. Wyrok więc skazujący go na dziesięć lat ciężkich robót został zatwierdzony, a tem samem wodza nacjonalistów rumuńskich izolowano od organizacji, tę zaś z kolei pozbawiono decydującego ośrodka dyspozycji. Zatwierdzenie wyroku Najwyższego Trybunału Wojskowego świadczy o tem, iż król rozgrywkę swą z „Żelazną Gwardią" chce doprowadzić do końca. Rozgrywka ta różni się mocno od tych, które w stosunku do nacjonalistów przedsięwzięli w roku 1933 minister spraw wewnętrznych Mihalake oraz w parę lat potem liberałowie Jan Duca oraz Titulescu. Król Karol rozwiązał nietylko organizację i nietylko unieszkodliwił jej przywódców przez uwięzienie czy deportację do klasztoru, ale postanowił wydrzeć „Żelaznej Gwardii" atuty moralne, jakie niewątpliwie posiadała i jakiemi potrafiła dysponować dla siebie w walce politycznej. Nie będziemy powtarzali sposobu, jakim król starał się ostatecznie, chociaż — jak się okazało — bezskutecznie, obalić autorytet Codreanu przez udowodnienie, iż nie ma on w sobie prawie krwi rumuńskiej. Ostatnio zaszedł nowy fakt, który świadczy, iż akcja obecnego *regime*'u jednak konsekwentnie dąży, mimo niepowodzeń,

do pognębienia autorytetu rozwiązanej nacjonalistycznej organizacji.

Oto publicznie „pokajali się” trzej najbliżsi współpracownicy uwięzionego wodza: profesorowie uniwersytetu Dragos Popesku i Luca Teodoriu oraz pułkownik rezerwy Piperesku.

Ale nietylko obniżanie autorytetu „Żelaznej Gwardii” jest środkiem do podwyższenia autorytetu obecnego *regime*'u wśród szerokich mas ludności. Król Karol zdaje sobie dobrze z tego sprawę, iż negacja jedynie nie wystarczy i że trzeba pozytywnie ukazać narodowi wartości moralne rządów, które reprezentuje.

I oto, znowu rozeszła się wieść, że monarcha pragnie pogodzić się ze swą małżonką, królową Heleną, bawiącą obecnie *incognito* w Londynie. Gdyby to się stało, fakt ten wytrąciłby ważny atut z rąk „Zelaznej Gwardii”. Ale, jeśli mogła się pojawić pogłoska, chociażby tylko nawet plotka, na temat ewentualnej zgody małżeńskiej króla Karola, świadczy to, iż mimo rozwiązania „Żelazna Gwardia” istnieje, i że działa choćby za pomocą opinii publicznej.

I rzeczywiście nie można zaprzeczyć istnienia „Żelaznej Gwardii”, która była nietylko organizacją, partią polityczną, ale wielkim ruchem ideowo-moralnym. To, że nie przejawia ona obecnie swej działalności, to że nie protestowała przeciwko uwięzieniu wodza, to wreszcie, że nie organizuje kontrterroru, nie świadczy o jej bezsilności. Podobno Codreanu wydał nakaz swój ostatni, ażeby podlegli mu ludzie zachowali spokój. Nie będziemy snuli w tej chwili wniosków i przewidywań tyczących się przyszłości Rumunii. To pewna, że król stara się utrwalić swój system rządu, a utrwalenie to widzi nietylko w systemie silnej ręki, ale w przejęciu zasad ideologicznych, jakimi torowała sobie drogę do władzy „Żelazna Gwardia”.

Jest to niewątpliwie, mimo represji, jej największe zwycięstwo.

NAUKA I LITERATURA

CESARZOWA ELŻBIETA

UKAZUJĄ się raz po raz książki o władcach i władczyniach, wybitnych osobistościach, dyktatorach nowoczesnych i starożytnych, o tendencjach totalistycznych i bez, z mniejszym lub większym pisane talentem. Widzieliśmy i Olivera Cromvella i Jul. Cezara, Fouchégo i Napoleona, Marię Antoninę i Wiktorię i Edwarda VII i tylu, tylu innych. Do najwdzięczniejszych z pewnością należy monografia o cesarzowej austriackiej Elżbiecie.[1]) Czytamy ją jak dobrze napisaną i zajmującą powieść, na co złożył się i kunszt pisarski autora i niezwykłe życie tragicznej cesarzowej. Ma ta książka wartość i dla fachowca, dla historyka, opiera się bowiem na materiałach aż dotąd niedostępnych dla uczonych. Towarzyszymy tragicznej cesarzowej od kolebki do grobu, współczujemy z nią głęboko, rozumiemy pobudki jej działania, widzimy ją w życiu codziennym i na tronie, widzimy jako córkę, siostrę, żonę i nieszczęśliwą matkę. Wszystko, co ludzkie — arcyludzkie wydobył autor z pożółkłych kart dokumentów archiwalnych. Niejedna zagadka rozwikła się, niejedna tajemnica odsłoni się, niejeden fakt i rys jej charakteru da się wytłumaczyć na drodze zrozumienia wpływów dziecinnych.

Życie jej objęło okres, w którym monarchia naddunajska zasadnicze i głębokie przejawiała przemiany w związku zresztą z przemianami na całym świecie. Ten okres kilkudziesięcioletni jej życia, indywidualnie niezbyt wielką wypełniony i ważną treścią, jednak jeśli chodzi o życie państw cechuje się niezmiernym bogactwem przemian. Losy złączyły ją z człowiekiem, który tron osiągnął w latach burzliwych — i odtąd te burze będą towarzyszyły im stale, aż jej życie skończy się katastrofą osobistą a jego — katastrofą monarchii. Katastrofa osobista, tragiczna śmierć Elżbiety oszczędziła jej widoku katastrofy państwowej. Zresztą jeśli chodzi o przyszłość Austro-Węgier była pesymistką, widziała w Austrii stary pień i spróchniały, który rozlecieć się musi pod naporem burzy dziejowej.

Instynktownie obawiała się Rosji, Prus, sprzyjała jak i mąż — Francji. To też ogromne oboje przeżyli rozczarowanie na skutek klęski Francji w r. 1871. Była to bowiem i klęska prestiżu Austrii. Odtąd będzie już Austria staczała się coraz niżej.

O ile cesarz był to człowiek od urodzenia przeznaczony do pełnienia swego urzędu, o tyle Cesarzowa całkowicie daleko była duchem od spraw rządzenia i polityki, zupełnie jej panowanie nie pociągało. Łatwo pobudliwa, nerwowa, nie miała warunków, by sobie poważną treścią wypełnić życie. Mogły by to zrobić dzieci, którym oddać się chciała całą duszą, niestety, matka cesarza, arcyksiężna Zofia odsunęła ją od nich. Ta ustawiczna walka ze świekrą, ciągła obawa o męża wskutek wojen (włoska, pruska) tak ją wyczerpały i zniechęciły do ojca, że szukała zapomnienia i ulgi w — ruchu, sporcie, jeździe konnej, polowaniu. Była to zresztą cecha dziedziczna rodziny Wittelsbachów, jak ojca Maxa i braci, jak Ludwika II. Po nich też dziedziczy skłonności artystyczne, poetyckie. Nie będzie ją pociągał przepych hiszpańskiego ceremoniału dworskiego, owszem będzie mu całą duszą obca. Nie zazna szczęścia jako matka, pozbawiona wpływu na dzieci, nie zazna szczęścia jako żona, może i z własnej winy. O jej wyrozumiałości i bezgranicznej ludzkości świadczyć będzie jej stosunek do aktorki, Katarzyny Schzatt, przyjaciółki męża przez długie lata. Nie wypełniło też jej życia głębokie oddanie się jej Węgrom. Zyskała sobie kraj i ludzi tak głęboko i tak serdecznie, że dzięki niej właśnie niejedno nieporozumienie zostało zażegnane. Szczęśliwiej się czuła w Ofen i Gödöllö, niż w Wiedniu, to też im większą zyskała popularność na Węgrzech, tym mniej jej miała w Austrii.

Cechuje ją duch niepokoju, który ją pcha z miejsca na miejsce, jak ojca Maxa, jak brata Ludwika II. Miejscem wytchnienia i szczęścia dla niej będzie rodzinne Possenhofen (Possi) niedaleko Monachium. Lubi przyrodę, Alpy, zwierzęta. Z tej sielanki wydostaje się na wielki świat, gdzie potężny rozgrywa się dramat: Oto ks. Metternich przeżywa swój zmierzch, budzą się Węgry, jednoczą się Włochy. Urodzony w 1830 syn arcyksiężny Zofii, Franciszek Józef obejmie tron po abdykacji nieudolnego cesarza Ferdynanda. Z początku raczej Zofia będzie rządziła, z czasem jednak uniezależni się cesarz. Krwawy sąd nad Węgrami to w większej mierze dzieło Zofii. Żenić się miał cesarz z Heleną, ale więcej mu się Sisi podobała. Ślub z hiszpańskim przepychem i — złote więzy, a już rzecz najgorsza to izolacja od dzieci, od Zofii, Walerii, Gizeli, Rudolfa. Wprawdzie do rządów się nie mieszała cesarzowa, ale urok jej niezwykłej urody i ludzkości swoje zrobił i na Węgrzech i we Włoszech nawet (Lombardia i Wenecja). Coprawda Włochy wnet się oderwą, ale Węgry Cesarzowa zdobędzie na stałe sercem.

Towarzyszką jej wierną i powiernicą stanie się hr. Ida Ferenczy, Węgierka, wogóle węgierskie towarzystwo będzie jej milsze niż austriackie.

[1]) Egon Caesar Corti: Cesarzowa Elżbieta. Z 34 ilustracjami. Warszawa 1938. Wydawnictwo J. Przeworskiego. Autoryzowany przekład Zofii Petersowej. Okł. T. Piotrowskiego. Str. 403 + 1 Knlb. + 34 ilustr.

Republikańskie wyobrażenia wyniosła z domu rodzicielskiego. Lubi też czytać autorów węgierskich jak Eötvös, czyta broszurę jakiegoś polityka o „Rozkładzie Austrii“. Duży na nią wpływ wywiera dziennikarz liberalny, Falk. Często przebywa z cesarzem w Ischlu. Żywo się interesuje Węgrami, losem Déaka i Kossutha, tego nieprzejednanego narodowca i niepodległościowca na wygnaniu. Déak dążył do przeprowadzenia swych planów węgierskich w oparciu o Austrię.

Pięknym rysem jej charakteru to litość i opieka nad obłąkanymi, dla których sama buduje szpitale. Pod niejednym względem cesarzowa epokę swoją wyprzedziła; cechuje ją np. bunt przeciw kastowości, chociaż z drugiej strony nie zna się zupełnie na praktycznych sprawach życia, wartość pieniędzy będzie dla niej rzeczą obcą.

Drugą obok Idy powiernicą również węgierską to hrabina Festeticz. Romantycznym a w tak szlachetnym stylu będzie jej stosunek do Fritza Pachera, którego potajemnie poznała na balu maskowym. Korespondują z sobą anonimowo latami całymi, chociaż on wnet się domyślił, kto to jest tajemnicza Gabriela.

Widzimy ją ciągle w ruchu, jeździ z kraju do kraju, poluje w Anglii i w Irlandii, której sercem sprzyja. Cierpiała Elżbieta na urojone prześladowania, a głód ruchu był wiecznie niezaspokojony. Zwiedza Grecję, na wyspie Korfu buduje jej cesarz zamek („Achillejoz“). Tutaj każe wznieść pomnik Heinemu, którego uwielbia. — Na drodze swego życia miała same tragiczne wypadki: oto śmierć brata Ludwika II w obłąkaniu, w tragicznych okolicznościach, a przedewszystkiem śmierć samobójcza syna Rudolfa z Marią Vetzera w Mayerlingu. Ona, ta prawdziwa *„Mater Dolorosa"*, istotne znała przyczyny tragicznego kroku Rudolfa, tego cynika, z pustką w duszy i w sercu. Życie jej to prawdziwa Odyssea, której kresem tragicznym miała być Genewa. Tu ją śmierć spotka skrytobójcza, bezcelowa, z rąk Lucheniego, młodego 26-letniego anarchisty. Pobudki, które go do tego skłoniły, niskie i błahe, raczej natury Herostratowej, byleby świat o nim czytał z gazet. Działo się to w r. 1898, gdy się zaczęło mieć pod koniec dawnemu porządkowi... I na tym kończy się opowieść, która posiada nieprzebrane bogactwo epizodów niejednokrotnie o największej sile dramatycznej. Środki autora są niezwykle proste. Doskonałe jest zwłaszcza malowidło dworu wiedeńskiego. Jego zakulisowe sprawy, intrygi kamaryli dworskiej. Nie mniej świetnie przedstawia autor stosunki w rodzinie Wittelsbachów. Uderza niechęć bardzo żywa obojga Cesarstwa do Prus a żywe sympatie do Francji. Liczne ilustracje uzupełniają wartość tej bardzo cennej książki, pozwalającej nam zrozumieć życie wewnętrzne byłej monarchii naddunajskiej.

Grodzisk Wielkop. JAN ŚWIERZOWICZ

Z TEATRU

POD KONIEC SEZONU

ON I JEGO SOBOWTÓR

W TEATRZE LETNIM

RZECZ oryginalna Maurycego Hennequina została adaptowana i częściowo zaktualizowana przez komika z Krakowa, Kazimierza Szuberta. On to, przyjechawszy teraz do Warszawy, sztukę w Teatrze Letnim wyreżyserował i objął w niej rolę doktora Ciołka.

Jak w olbrzymiej większości lekkich komedii francuskich, a bodaj nawet we wszelkich farsach całego świata — założenie „Onego i jego sobowtóra" jest oparte na motywach erotycznych i stosunkach familijnych. Możnaby poprostu napisać receptę na podobne farsy.

Jak sobie państwo wyobrażacie — od czego zacząć? Nie wiecie? A od czego rozpoczynają się w życiu tragedie, komedie, krotochwile? Rzecz jasna — od zetknięcia odpowiednich typów. Jakie typy trzeba zetknąć, ażeby mogło wyjść wiele zabawy i śmiechu?

Odrazu niewątpliwie przychodzi na myśl teściowa. Co dalej? Ano, jeżeli weźmiemy teściową, to już musimy wziąć jej córkę i zięcia. Ten trójkąt będzie bazą operacyjną naszej kompozycji, choć niekoniecznie musi się znaleźć w jej centrum. Dodajmy teraz innego rodzaju niezawodne źródło komizmu — prowincjonalnego doktora, safandułę siedzącego pod pantoflem, jak mysz pod miotłą. Dalej — niech przyjdą: młody i pomylony poeta, emerytowany oficer i lokaj z przeszłością żołnierską. Mamy jnż prawie komplet. To jest rusztowanie żelazne b. wielu fars. Ale farsa jedna od drugiej musi się przecież czymś różnić — nietylko tytułem. Otóż istotą farsy, tak samo jak wogóle każdej sztuki scenicznej — jest jej kompozycja dramatyczna, zadzierzgnięcie i rozwiązanie węzła akcji, zasadniczy pomysł, konflikt, intryga — jej obsadzenie ludźmi, przeprowadzenie i zakończenie. W naszej sztuce ową zasadę budowy stanowi koncepcja zmyślonego sobowtóra, jako ciągłego alibi dla niewiernego męża. Oto w czym tkwi życie farsy i oryginalność, którą jeszcze podkreślają swoiste cechy postaci, np. to, że twórca sobowtóra jest fabrykantem pieców i wynalazcą, że żona jego przyjaciela, doktorowa Mira ma wiedzę i talent detektywistyczny i t. d.

Zasadniczą wadą sztuki jest zbyt małe wyzyskanie tej Miry. Akcja powinna być misternym, podstępnym i wartkim pojedynkiem między Kręckim a Mirą. Uderzenia powinny być obustronne, działania obojga winny się kojarzyć, i zmagać ze zmiennym szczęściem, ale z ciągle rosnącym tempem, prowadząc do zwycięstwa strony moralnie lepszej.

Tymczasem geniusz śledczy Miry poznajemy tylko z rekomendacji, nie zaś z popisu. Ostateczne zdemaskowanie Kręckiego przychodzi jej łatwo dzięki jego nieostrożności. M. Hennequin ma zapewne wykształcenie teoretyczne w zakresie dowcipu i komizmu. Powinien zatem wiedzieć, że ludzie się śmieją widząc, jak osoba napozór słaba i pogardzana, pokonywa dowcipem przeciwnika zarozumiałego i niemoralnego, jak upokarza jego pychę, demaskuje jego występność i obłudę. Niewiadomo dlaczego autor zaniedbał to źródło humoru doskonałego gatunku. Wolał zapewne, aby Kręcki wpadał we własne sieci. Dobreby i to było, gdyby akcja biegła szybciej, gdyby miała lepszą logikę i dynamikę. Najżywszy jest akt II, najwięcej rozciekawiający, obfitujący w niespodzianki.

Największą rolę — fabrykanta pieców „Westalka" objął Ludwik Śliwiński. Partię sobowtóra wykonywa koncertowo. Kazimierz Szubert pokazał wysoką, kulturalną klasę komizmu. Publiczność uczciła go owacyjnym śmiechem. Nie można pominąć w recenzji Z. Tatarkiewicz-Koskowskiej, nad wyraz przyjemnej żony młodego fabrykanta. Obowiązkowo trzeba wspomnieć o Mirze, przedziwnej, sympatycznej detektywce, którą to postać odtworzyła Wanda Jakubińska.

Dekoracje wykonał St. Jarocki.

ZIELONY FRAK

W TEATRZE NARODOWYM

GŁÓWNYM tematem farsy jest oczywiście satyra na Akademię francuską. Jest to więc farsa satyryczna. To jej zabarwienie może nasuwać poważne refleksje; niewątpliwie jednak potęguje ono zarazem efekt komiczny. Śmiech, który rozbrzmiewa na sali w czasie tego spektaklu, to nietylko *sui generis elan vital*, beztroski hałas rozbawienia publiczności żonglerką płytkich dowcipów; to jest śmiech głębszy o większej sile wybuchowej. Śmiejemy się tutaj z małości skarykaturowanej wielkiej instytucji społecznej.

Śmiejemy się nietylko wesoło, ale i mądrze. Flers i Caillavet potrącili o Arystofanowskie źródło dobrego humoru widzów. Jest to jakaś paradoksalnie komiczna „druga strona” wzniosłości, patosu, wielkości i powagi. Nurtowało to zagadnienie w duszy Chestertona. Rzeczy wielkie stają się także śmieszne, oczywiście tylko w oczach młodzieży, lub dziecinnie nastrojonych dorosłych. Ten nastrój kojarzy się wogóle łatwo z postawą estetyczną, a ze szczególną przyjemnością ulega mu publiczność wesołego widowiska teatralnego.

Oprócz pośmiewiska, na jakie wystawiono „Nieśmiertelnych”, „przejechano się” ironicznie po innych szczytach narodowych, mianowicie po głowie republiki francuskiej i po arystokracji.

Miesięcznik „Teatr”, zapowiadając „Zielony frak” pisał, że dopiero teraz kiedy mamy własną Akademię Literatury, będziemy mogli zrozumieć w całej pełni i śmiać się z całej duszy z satyry francuskiej. Recenzenci teatralni gazet warszawskich uznali, że myśl jest dobra i należy ją rozwałkować. Dopiero teraz... Niewątpliwie, narzuca nam się odrazu porównanie obu tych instytucyj. Ale wynik zestawienia, nawet uczynionego z zamiarem parodiowania, nie jest wesoły. Nie, stanowczo; staramy się nie myśleć o żadnych analogiach; śmiejemy się z Akademii francuskiej i proszę nam nie psuć zabawy.

Refleksje narzucają się jednak gwałtownie. Czy panów Flersa i Caillaveta krępowała cenzura państwowa? Nie, skoro mogli zakpić zdrowo z samego prezydenta republiki. Czyż ponadto nie szukali z zaciekłością komediopisarzy wszystkiego, coby mogło ośmieszyć i wydrwić ojczysty aeropag zielonych fraków? A jednak, jeśli zważyć, co za krytykę zawiera ich satyryczne oskarżenie, to snadnie dojdzie się do wniosku, że niema tam żadnych zarzutów, że farsa czepia się fraków, że nadrabia prywatno-erotyczną intrygą, że wreszcie jest to karykatura bajecznie nieprawdopodobna, według typu: jak sobie pospolity Francuz wyobraża grono „Nieśmiertelnych”.

U nas sprawa przedstawia się zgoła inaczej. Śmiejemy się i my ze swej P. A. L., owszem, nawet dosyć często. Sam Irzykowski powiada: „Po zamianowaniu mnie członkiem P. A. L. miałem wrażenie, jakbym popełnił plagiat”. Ale co innego śmiać się z własnej chluby kultury narodowej, a co innego szydzić z pretensjonalnej, ale nieudanej imprezy panującego reżimu.

O artyzmie komediowym „Zielonego fraka” wiele już pisano. Najważniejszym, na co należy zwrócić uwagę, jest splot wątków: erotycznego i satyrycznego. Flers i Caillavet, starzy *farceurs*, nagromadzili — na osi b. zręcznie powikłanej intrygi — wiele rodzajów komizmu. W ten sposób śmiech widowni potęguje się, jak, powiedzmy, światło skrzyżowanych reflektorów.

Jerzy Leszczyński w roli hr. de Latour - Latour reprezentuje zwyrodniały typ arystokraty, który zna wspaniałe maniery, umie herbarz na pamięć; jego głównym zajęciem jest miłość (brr, jakaż brzydka nasuwa się tu analogia), jego poważnym zainteresowaniem — historia własnego rodu. Krótko mówiąc, lowelas, który daje się ulepić na męża rączkom Brygidy Touchard, przewyższającej go dowcipem i dyplomacją dziewczyny gminnego pochodzenia. Alina Żeliska w tej roli ma dobre momenty; artystka ma talent, ale jej głos robi wrażenie emitowanego z trudem ,przez co dykcja nie jest swobodna; pewną monotonię sprawia częste obniżanie tonacji w wygłosie zdań. Stanisław Stanisławski zagrał poprawnie księcia de Maulevrier, prezesa akademii, rogacza wspaniałego.

Mieczysława Ćwiklińka jest wprost bajeczna! Na sam jej widok publiczność szaleje z uciechy. Jej kreację w obecnej komedii niewątpliwie zachowamy w pamięci, jako jeden z najświetniejszych wawrzynów chwały tej nieocenionej artystki. Temperament, burzę gestów, olbrzymią skalę przekomicznej mimiki wykazał Tadeusz Frenkiel, jako Parmeline, muzyk. B. dobry był Juljan Krzewiński, żałosny prezydent Republiki, kojarzący z satysfakcją młodą parę, w braku lepszego, konkretnego zajęcia.

Afisz wymienia 22 wykonawców, z których conajmniej jedna czwarta należy do najwyższej klasy kunsztu aktorskiego w Warszawie i w Polsce. Ten zespół brawurowo prowadzi scenę Teatru Narodowego do finału sezonu.

Sztukę wyreżyserował Karol Borowski na tle dekoracji Andrzeja Pronaszki

T. D.

NOWE KSIĄŻKI

Jeziorowski W. Wielka gra. Dramat rycerski w 3 aktach. Poznań 1938. Skład u św. Wojciecha.

Brochwicz Stanisław. Matki czuwają. Warsz. 1938. Wyd. „Zorza“.

Lulofs Madelon. Guma... Guma. Romans z Sumatry. Tłum. H. Leśniewski. Lwów-Warsz. Książnica-Atlas.

Gałczyński K. Utwory poetyckie. (Warsz. 1938). „Prosto z mostu“.

Miciński Bolesław. Podróże do piekieł. Warsz. 1937 „Prosto z mostu“.

Koterba-Dziuban Zenon. Rozmawiamy wieczorem (Poezje). Kraków 1938. Nakł. Polartu.

Truchim Stefan dr. Święty Augustyn a nauki. i szkolnictwo starożytne. Warsz. 1938. Nasza Księgarnia. Str. 25.

Kwasieborski Wojciech. Podstawy narodowego poglądu na świat. Warsz. 1937. Str. 30.

Brzezińska Jolanta. Nieznajomi. Poznań 1938. J. Jackowski.

Teka Zamojska. Rocz. I, zesz. 2. Zamość 1938.

Ihnatowicz Zygm. Związek rolników z wyższym wykształceniem. Warsz. 1937. Str. 64.

*

Zweig Ferdynand. Zmierzch czy odrodzenie liberalizmu. Lwów 1938. Książ.-Atlas. Str. 320.

Miedziński Bogusław. Wczoraj — dziś — jutro. Warsz. 1938. Gebethner i Wolff. Str. 184.

Biliżanka i Tomy. Robinson Kruzoe. Sztuka dla dzieci. Z 8 ryc. i nutami. Warsz. 1988. Książ.-Atlas.

Jeżowska Kazimiera. Podanie o Piaście. Trzy obrazy. Z muzyką, Izbickiego (Maklakiewicza). Tamże.

Magdański Marian. Uwagi o Koperniku. Poznań 1938. Odbitka z XIV t. „Roczników Histor.”.

Piasecki Eug. Dalsze badania nad genezą ćwiczeń fizycznych (VIII — Zelman). 1938. Nakładem Nauk. Tow. Pedag. Str. 16.

WYSTAWA MIĘDZYNARODOWA

RZEMIOSŁA W BERLINIE

W DUŻYM przestronnym domu radia na *Kurfürstendamie* pierwsza międzynarodowa wystawa rzemiosła dała imponujący obraz twórczości 30 państw. W najpiękniejszej niewątpliwie ze wszystkich pierwszej hali w tonie jasno piaskowym utrzymanej, o liniach prostych, łagodnie oświetlonej lampami ukrytemi pod gzymsami, z dwóch stron od sufitu

zwisają flagi wszystkich państw, które wzięły udział w wystawie. Hala ta ma w sobie powagę, jest symbolem wszechpokoju, braterstwa w harmonii barw i światła. Stwarza odrazu nastrój ciszy, wesela, skupienia w pracy twórczej.

Wchodzimy dalej do sal, gdzie w stoiskach są ułożone eksponaty rzemiosła różnych narodów. Sale są duże, widne a flagi, skrzyżowane wysoko na ścianach tworzą tło jasne, radosne. Narody całego świata zebrały się, aby pokazać swój wysiłek artystyczny w kształtowaniu życia codziennego, dać obraz przedmiotów, które nas otaczają stale, z któremi niejako współżyjemy. Na ścianach wystawy widnieje napis Goethego z Wilhelma Meistra: „Przed życiem całem, działalnością wszelką i sztuką pierwszeństwo ma rzemiosło". Głęboka ta myśl tłumaczy konieczność stworzenia pięknych ram codziennego życia z drobnych napozór nic nie oznaczających rzeczy, które mamy w ciągłym użytku, aby mogła powstać atmosfera harmonii, w której rodzi się wielka sztuka. Nic bowiem nie jest dla nas obojętne z tego, co stanowi nasze otoczenie: pokój w którym mieszkamy, meble, jakie w nim stoją, dywany, poduszki, serwetki, nawet drobne przedmioty mają swoją wymowę, która nas uspakaja lub drażni. Człowiek wrażliwy w otoczeniu rzeczy pięknych, harmonijnych, barw spokojnych, harmonijnych, kojących, linii czystych, czuje się dobrze, z przedmiotami temi może nawiązać nici porozumienia, sympatii tak jak z ludźmi, — natomiast w sposób przykry odczuwa brzydotę, jaskrawe dziwactwa, jakie w ostatnich czasach rozsypali wszędzie żydzi.

Dla artysty zaś atmosfera piękna, czy brzydoty, harmonii czy dysharmonii jest zasadniczym warunkiem życia. Dlatego rzemiosło ma tak niesłychanie doniosłe znaczenie, zapoznane zupełnie w okresie wielkiego uprzemysłowienia, gdzie seryjne produkty zastępowały twórczy wysiłek rzemieślnika i otaczały ludzi atmosferą tandety i blichtru, niszcząc poprostu wszelką kulturę, zabijając w ludziach poczucie piękna.

Wartość rzemiosła należy podkreślić tem bardziej, iż w ostatnich czasach uważano je za coś niższego, — ludzie uciekali od warsztatów, aby być „czemś lepszem" stwarzając kadry inteligencji rozgoryczynej, zawiedzionej, która poprostu nie znajdowała miejsca w życiu. Marnowały się przytem uzdolnienia tych ludzi, którzy w rzemiośle mogliby wykazać twórcze możliwości. To też poza pokazami ciekawemi, jakie wystawa daje, jest niewątpliwie jej wielką zasługą wykazanie wartości rzemiosła w życiu każdego narodu.

Nas interesuje oczywiście przedewszystkiem rzemiosło polskie. W pierwszej sali patrzymy z radością na flagi nasze nad stoiskami. W eksponatach szukamy przedmiotów, prawdziwie polskich, tj. dających obraz twórczości rdzennie polskiej. Ale tego niestety nie znajdujemy. Przedmioty poukładane dość chaotycznie, bez żadnej myśli przewodniej: trąby, filiżanki, wyroby skórzane itd. A przecież, gdyby zebrać choćby tylko sztukę zakopiańską w jedną całość, możnaby już wykazać twórcze bogactwo naszego ludu, jego oryginalność, jego odrębność. Wystawę zwiedzają codziennie tysiące; obraz sharmonizowany i piękny rzemiosła polskiego powstałby w myśli niejednego zwiedzającego i pozostawił pamięć o Polsce.

Okazja stracona.

Przechodzimy dalej, przeglądając eksponaty innych państw. Ale pewna chaotyczność daje się zauważyć wszędzie. Zawiodła Francja, która tak nieprzebrane bogactwa twórczości wykazuje zawsze nawet w najdrobniejszych drobiazgach życia codziennego, czyniąc z nich dzieła sztuki. Zwraca tylko uwagę wycinanemi w drzewie obrazami bardzo oryginalnie ujętemi. Mało tonu narodowego jest naogół w działach poszczególnych państw. Wyróżnia się Bułgaria, dając obraz kostiumów, dywanów, sprzętów, tworzących pewną całość, poza tem Japonia, która zwraca uwagę wycinanemi w drzewie obrazami.

Zapewne warunki odosobnienia od innych państw przyczyniły się do powstania tej sztuki, tak subtelnej, tak zupełnie odrębnej od innych. Bardzo wiele pięknych sprzętów z bambusu, drzewa, głównie cedrowego w różnych formach, rzeźbionego, nakładanego emalią, lakierowanego, następnie bardzo wiele przedmiotów porcelanowych, papierowych, w których tak kochają się Japończycy, umiejąc przystrajać niemi artystycznie mieszkania. Wyróżniają się również materiały japońskie, pięknie haftowane i malowane.

Najbogaciej — rzecz prosta — przedstawiają się eksponaty gospodarza wystawy, tj. Niemców. Są tu piękne przedmioty codziennego użytku bardzo gustownie ułożone i rozplanowane, są całe galerie, stylowo sharmonizowane, są wreszcie oryginalne, zupełnie nowego typu podwórza - ogrody, gdzie ściany pokryte są różnorodnie ustawionemi i splecionemi drabinkami drewnianemi, po których pną się kwiaty. Drabinki te ustawione są jedne przy murze, inne od niego odsunięte, tak że całość jest niezmiernie urozmaicona i robi bardzo miłe wrażenie. Podwórza te pokryte trawą, kwiatami z wodotryskami w środku, stanowią otoczenie, niewątpliwie bardzo dodatnio wpływające na człowieka, który miasta opuścić nie może, ma przed oczami harmonijny, piękny obraz jakby wyrwany ze wsi.

Poza tem dział niemiecki, jak i działy innych narodowości przedstawia wszelkiego rodzaju przedmioty codziennego użytku, zacząwszy od drobiazgów, kończąc na meblach.

Poza salami w obrębie wystawy, jak piękne dywany zielone, wszędzie rozpościerają się trawniki z rabatami kwiatów. Przestrzeń jest duża, — wkoło zieleńców cukiernie różnych narodów z orkiestrami, wytwarzają nastrój niezmiernie wesoły, pogodny. Jest i cukiernia warszawska z ciastkami. Patrząc na nią żałujemy, że też nie została wyzyskana możliwość pokazania strojów ludowych które mogły mieć na sobie sprzedające panny.

Wystawa niewątpliwie spełniła doniosłe zadanie wykazania wielkiego znaczenia rzemiosła w życiu narodów, jako jednego z najważniejszych czynników kultury. Na zakończenie przytoczyć można słowa wypowiedziane przez posła boliwijskiego w Berlinie p. Sanjinesa: „oby ta pierwsza wystawa międzynarodowa rzemiosła przyczyniła się do zbliżenia narodów i obudzenia wzajemnie dla siebie uczucia szacunku i uznania".

A. N.

JUŻ WYSZEDŁ TOM I.

DZIEJÓW POLSKI

W 3 TOMACH

PROF. WACŁAWA SOBIESKIEGO

WYDANIE DRUGIE

pod redakcją prof. K. Tymienieckiego

i został rozesłany w dniu 8 bm. wszystkim prenumeratorom

Cena tomu I-go w księgarniach — **6 złotych**

Do nabycia w księgarniach i Wydawnictwie „ZORZA", W-wa, Al. Jerozolimska 17—5

NOWA PRENUMERATA. Wszyscy prenumeratorzy „Dziejów Polski", którzy wpłacili prenumeratę czy to całkowicie, czy choćby tomu I-go przed 10 lipca br. otrzymają zarówno ten tom I-szy jak i pozostałe dwa tomy według cennika prenumeraty dotychczasowej. Obecnie, gdy został ustalony ostatecznie nakład dzieła i objętość każdego tomu, prenumerata zostaje zmieniona i cenniki z kwietnia, maja i czerwca – wydawnictwa nie obowiązują. Według obecnego cennika wynosi 15 zł.

Prenumeratę powyższą można opłacić w dwóch ratach: ratę I-szą – 7 zł. 50 gr. przed 10 sierpnia, ratę drugą – 7 zł. 50 gr. (wzgl. 6 zł.) przed 10 września br.

Każdy wpłacający ratę I-szą otrzymuje tom I-szy dzieła odwrotną pocztą

PP. Nauczyciele, młodzież szkolna i stowarzyszenia oświatowe płacą 13 zł. 50 gr

Po wyjściu tomów II-go i III (we wrześniu br. cena „Dziejów Polski" w 3-ch tomach wynosić będzie zł. 17 za 3 tomy.

Pieniądze i zamówienia należy wysyłać pod adresem: W-wa, „ZORZA" Al. Jerozolimska 17 m. 5. P.K.O. 501.

CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ NA

„MYŚL NARODOWĄ"

NA KWARTAŁ III

PRENUMERATA WYNOSI:

Całoroczna	zgóry	32 zł.
Półroczna	„ „	17 zł.
Kwartalna	„ „	9 zł.

Kwoty do 50 zł. przesyłać można bezpłatnie za pośrednictwem blankietów rozrachunkowych, które także można nabywać na poczcie w cenie 1 grosza.

Należy przypisać konto rozrachunku pocztowego Myśli Narodowej Nr. 98.

Konto czekowe P. K. O. 3105.

PO ZNIŻONEJ CENIE

dla czytelników „Myśli Narodowej"

nabywać można w Administracji lub w redakcji „Myśli Narodowej" następujące książki

ZYGMUNTA WASILEWSKIEGO

1. Aspazja i Alcybiades . . . . „ 2.50
2. Pieśń w górach . . . . „ 2.50
3. Wnukom o prapradziadku . . . . „ 1.50
4. O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej 2 —
5. Z życia poety romantycznego (S. Goszczyński) 1.50

(Na koszta przesyłki trzeba doliczać 10%)

Tom IV.

Pism ROMANA DMOWSKIEGO

UPADEK MYŚLI KONSERWATYWNEJ W POLSCE

z dodatkami

1. O bankructwie metody galicyjskiej.
2. Koniec legendy.
   Wykształcenie polityczne str. 268.

P. S. Jako następny tom ukażą się „Pisma pomniejsze" z okresu przedwojennego.

TREŚĆ: Palestyna i diaspora *J. B.* — Ludwik XIV *L. Gembarzewskiego.* — Dwa światy etyki *W. Majdańskiego.*— Socjalizm na raty *W. Wolerta* — Zgraja tajemna *S. W.* — Iliada kogucia *J. Kaweckiego* — Na widowni *T. Dworaka* — Głosy *W. T.* — Z obcego świata. — Nauka i literatura *J. Świerzowicza.* — Z teatru *T. D.* — Nowe książki. — Wystawa międzynarodowa rzemiosła w Berlinie *A. N.*

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.